



Nr 45.

Prenumerata w Warszawie
rocznie rs. 8, półrocznie rs. 4, kwartalnie rs. 2,
miesięcznie kop. 67 i pół.

Warszawa, 4 listopada 1876 r.

Prenumerata
na prowincyi i w cesarstwie
kwartalnie rs. 3.

Tom II.

Treść numeru. Pomnik Maryi Hemplównej (z drzeworytem). — Kronika tygodniowa. — Dr. Ferdynand Dworzaczek (dokończenie). — Rozkosz (z drzeworytem). — Przegląd teatralny. — Fragment z poematu. — Rekwizycya (drzeworyt). — Z widowni wojny (drzeworyt). — Przegląd polityki zagranicznej. — Szachy. — Rebus. — Kronika paryzka. — Listy z wystawy filadelfijskiej (dalszy ciąg). — Szwedzkie dziecko, powieść (dalszy ciąg). — Korespondencya ze Lwowa. — Kobieta w Indyach, jej przeszłość i przyszłość (dokończenie). — Sztuka włoska w epoce odrodzenia (dalszy ciąg). — Stefan Lawrence, powieść (dalszy ciąg).

Pomnik Heleny Hemplówny.

w kościele parafialnym w Rościszewie
(gub. płocka).

Przed dwoma miesiącami wdzięczny ten utwór dłuta p. Bolesława Syrewicza, wystawiony na widok publiczny w pracowni artysty, w tutejszym zamku królewskim, powszechnie u nas wzbudzał zajęcie. Daliśmy wtedy (zob. nr. 32 Tygodnika) dość obszerną o nim wzmiankę w kronice tygodniowej, zapowiadając wkońcu, że zamieścimy jego przerys.

Dotrzymujemy obecnie tej obietnicy, a nie chcąc się powtarzać, odsyłamy czytelników do poprzedniego artykułu naszego. Wymieniliśmy tam szczegółowo znaczenie i zalety tego zajmującego dzieła sztuki, którego myśl zresztą nie potrzebuje wytłumaczenia.

Kronika tygodniowa.

Chmurne niebo jesieni, smutne i posepne, czyż to nie najodpowiedniejsze tło dla uroczystości *Zaduszek*? A jednak powinienby ją rozjaśnić drobny chociaż promyczek światła, aby wiara w życie zagrobowe nie była źródłem trwogi tylko i rozpacz. Od grobów bowiem wieje jedynie tajemniczy szept, który powtarza z psalmistą: *vanitas vanitatum...*

Są dzisiaj pesymiści, którzy wierzą w upadek religijności i moralności zarazem. Twierdzeniu takiemu żywo przeczy uroczystość *Zaduszek*. Przynajmniej Warszawa wylega cała prawie na cmentarz, aby nad grobami ukochanych pomarzyć o chwilach które już przeszły — a taki stosunek z umarłymi w naszych oczach jest aktem i religijności, i moralności. Z u-



Pomnik czteroletniej Heleny Hemplówny, z marmuru kararyjskiego, ustawiony w kościele parafialnym w Rościszewie (gub. płocka). Dzieło Bolesława Syrewicza.

czuciami temi nauczyliśmy się ukrywać, bo moda każe mieć zawsze twarz zimną i oko suche; przy okazji jednak prawda, jak oliwa, wychodzi na wierzch i wtedy... jesteście sobą. Wpływy szkodliwe, pokrywające się sztandarem rzekomego postępu, czynią bez zaprzeczenia głębokie szczyby w usposobieniu mas, ale nie sięgają aż tak głęboko, aby to usposobienie naprawdę zmienić się mogło. Całość zostaje nienaruszoną, na pociechę tych wszystkich, którzy w czystej, szczerzej religijności widzą rękojmię moralnego bytu społeczeństwa.

Zwracamy uwagę „grona czytelniczek“ *Kuryera Codziennego*, które w numerze 239 tego pisma zapytuje, dlaczego pisma ilustrowane warszawskie nie dały dotąd reprodukcji słynnego obrazu *Henryka Siemiradzkiego* p. t. „*Elegia*“ — że utworów sztuki, wystawionych w salach warszawskiego Towarzystwa zachęty sztuk pięknych, niewolno reprodukować, bez wyraźnego zezwolenia artystów, lub właścicieli, jeżeli dzieło nabyte zostało przez osobę prywatną.

Co do nas jednak, poczyniliśmy już odpowiednie kroki i pozyskaliśmy od p. Siemiradzkiego pozwolenie na zdjęcie kopii z tego znakomitego dzieła sztuki. Mamy więc nadzieję, że jeszcze przed Nowym rokiem będziemy mogli szerokiemu kołu naszych czytelników dać reprodukcją jego drzeworytniczą, wiernie i artystycznie sporządzoną.

Pan Jan Jeleński, właściciel czytelnicy, o założeniu której parę razy już wspominaliśmy dawniej w kronice, nadesłał nam sprawozdanie z ruchu jej, za czas od 20

października roku zeszłego. Ze sprawozdania tego okazuje się, że czytelnia w ciągu roku miała czytelników 673, z których kobiet 327, dzieci zaś i młodzieży 134.

Już to beletrystyka w czytelnicy miała najwięcej zwolenników, bo aż 361, ale kobiety stanowiły tu $\frac{2}{3}$ części ogólnej liczby. Dział historyczny miał czytelników 56, najmniej zaś dzieła treści filozoficznej, bo zaledwo 20. W tym tylko dziale i w ekonomicznym mężczyźni stanowili większość, w innych zaś znaczną przewagę dały kobiety.

Sprawozdanie zaznacza, że największy ruch czytelników przypadł na miesiące zimowe, od listopada do marca, najmniejszy zaś w maju, czerwcu i lipcu. Tłumaczy się to bardzo naturalnym wpływem lata, które w pracach umysłowych zawsze sprawia pewną stagnację.

Czytelnia p. Jeleńskiego, jak się pokazuje z cyfr powyżej przytoczonych, ma powodzenie, jeżeli weźmiemy na uwagę, że to dopiero jej początki. Ma je i mieć niezawodnie będzie w przyszłości, jeśli zbiory jej książkowe z każdym rokiem do coraz poważniejszych cyfr dorastać będą. Na szczęście p. Jeleński rozumie to doskonale i sprawy kompletowania ich nie zasypia. Z dniem każdym książek w czytelnicy przybywa, a dział naukowy z bogacą dzieła istotnej wartości.

Pan Chodźko, fotograf, znany już chlubnie publiczności naszej ze ślicznych widoków krajowych, których drugą seryą obecnie przygotowuje, od niedawna stale osiadł między nami.

Mieliśmy w tych dniach sposobność zwielenia zakładu fotograficznego p. Chodźki na Nowym świecie, zaraz za ulicą Chmielną, i zapewnić możemy sumiennie, że ani pod względem smaku w urządzeniu, ani w dokładności roboty nie ustępuje on w niczym starszym swym spółzawodnikom.

Specjalnością p. Chodźki (jeżeli to specjalnością nazwać można), obok widoków krajobrazowych, jest zdejmowanie wizerunków dziecińczych, lubo i jego portrety osób dorosłych nie do życzenia nie pozostawiają. Istotnie, sądząc po próbach, które widzieliśmy w pracowni p. Chodźki, pulchne buziaki najdrobniejszych nawet dzieciątek udają mu się wybornie, czy to z powodu wyjątkowej czułości aparatów, czy z innej jakiej, wiadomój nam przyczyny. Nie wątpimy też że zakład o którym mowa, pod umiejętnym kierunkiem swego właściciela, coraz liczniejszą wyrobi sobie klientelę i z powodzeniem wytrzymać zdoła tak trudną dziś u nas na polu fotograficznem konkurencją.

Pan Kazimirz Kaszewski, dotychczasowy nasz recenzent teatralny, z powodu nawału zajęć, nadal sprawozdań o sztuce dramatycznej dla Tygodnika pisywać nie będzie. Niemożność terminowego współdziałania nie wpłynie jednak bynajmniej na to, aby szanowny nasz kolega, od samego początku istnienia Tygodnika Ilustrowanego tak pożytecznie i życzliwie dla niego czynny, nie miał i w przyszłości z równą życzliwością zasilać go cennymi utworami swojego pióra. Czytelnicy, zarówno jak i redakcyja, cenią te prace wytrawnego krytyka i myśliciela, a pismo nasze w posiadaniu ich i nadal szukać będzie chłuby.

Odtąd sprawozdawcą teatralnym w Tygodniku będzie jeden ze stałych, od lat kilku jego współpracowników.

Stary znajomy szerokiego koła publiczności, Kalendarz Ungra, w zwykłej swojej, zielonej sukience, wyszedł już z pol prasy. Z postępem czasu tyje sobie poczciwina, a doświadczenie, nabyte po latach tyłu, gromadzi w nim coraz nowe zasoby. Część kalendarsko-informacyjna z każdym rokiem rośnie, informacje stają się bardziej szczegółowe, a układ jaśniejszy i wygodniejszy. W części literackiej czytelnicy spotka się w nim z najpopularniejszymi i najznakomitszymi piórami, a po-

czawszy od poezji, aż do ekonomii politycznej, wszystkiego tam sporo.

Obok jegomości papy w zięonym szlafroku i z licznymi ilustracyami, wyszedł też z pod prasy Dziennik na rok 1877, zgrabnie oprawny i opatrzony ołówkiem, aby ten, kto egzemplarz jego posiędzie, mógł w nim troskliwie zapisywać bieżący stan swjej kieszeni i ważniejsze wydarzenia w roku. Młodszy jego braciśzek, Kalendarz ścienny, i na rok przyszedł kompletuje tę dobrze znaną a pożyteczną trójkę, którą firma Ungrowska w kilkunastu tysiącach egzemplarzy publiczność zaopatruje.

Kwestya trzeciego teatru jest obecnie na porządku dziennym. Różne wieści co do niej krążą po różnych piśmiech; jedne twierdzą napewno że trzeci teatr istnieć będzie, inne przeczą, a jeszcze inne dowodzą nawet, że o koncesyją na ten trzeci teatr stara się dyrekcya rządowa teatrów już istniejących.

O ile wiemy, w tém wszystkiem potrosze zawiera się prawdy. Trzeci teatr byłby w Warszawie pożądanym, bo niezawodnie jest potrzebnym. Czy jednak pożytecznymby było, aby teatr ten podlegał kierunkowi dyrekcji teatrów rządowych—to inna znow kwestya. Wyjaśnienie jej wskazałoby dopiero, czy wspomniona dyrekcya upatrywałaby mogła jakikolwiek interes w posiadaniu teatru trzeciego, czy interes ten byłby istotnie korzystny, lub czy, przeciwnie, nie stałaby w sprzeczności z teatrami już istniejącymi.

Nie są to kwestye tak bardzo subtelne, aby wyjaśnienia ich przychodziło szukać w rozumowaniach arcy-głębokich. Trzeba tu zaczerpnąć pewnych wskazówek z doświadczenia, bo doświadczenie najlepiej uczy, pod wieloma względami.

Doświadczenie to tedy powiada, że Warszawa dostarcza bardzo licznęj publiczności dla teatrów w lecie, chociaż widowiska sceniczne najmniej dla letniej pory są właściwe, co wnosić każe, że w zimie publiczność teatralna może być jeszcze liczniejszą. Nie jest nią jednak, lecz sprzeczność ta bardzo łatwo daje się wytłumaczyć. Publiczność letnia szuka przedewszystkiem wrażeń, zajęcia, sztuk odpowiednich dla siebie, a podobno najmniej gry i artystycznych efektów. Jest to publiczność różna od tej, która przychodzi do teatrów Wielkiego i Rozmaitości, różna zaś dlatego, iż widowisk stosownych w teatrach tych dla siebie nie znajduje. Straszają ją także ceny, bo jakkolwiek publiczność ta jest liczna, ale niebogata. Woli tedy w ciągu zimy bez teatru się obywać, a w lecie za kilkanaście lub kilkadziesiąt kopiejek wynagradzać to sobie ochotnie i często.

Jeżeli więc trzeci teatr jest potrzebny w Warszawie, o czem nikt nie wątpi, to taki, któryby: 1-o) czynił zadosyć potrzebie publiczności szerokiej, owęj publiczności letniej; 2-o) któryby przedewszystkiem grywał jaknajczęściej rzeczy nowe i 3-o) powodzenie swoje opierał nietylko na znakomitęj grze aktorów, ile na trafności wyboru dzieł scenicznych. Teatr taki mógłby być w wyborze tym mniej wybrednym, jak również i w wystawie scenicznej mniej wykwinnym, a nadewszystko powinien być... tanim. Oszczędność w grze i dekoracyach, przy odpowiedniej liczbie miejsc w sali, pozwoliłaby mu świetnie robić interesa, bo publiczności nie zbrakłoby mu nigdy. Krotchwila, komedia, dramat, melodramat i komedyo-opera, a nawet i opereta, pozwoliłyby mu działać w różnych kierunkach, nie wchodząc bynajmniej w kolizyę z teatrami Rozmaitości i Wielkim. I owszem, nie potrzebując mistrzów w sztuce aktorskiej, czy w operze, teatr taki działałby na korzyść teatrów już istniejących, przysposabiając im aktorów i śpiewaków zdolnych. Pożytecznymby był i ze względu na to, że uwolniłby teatr Rozmaitości od plagi debiutów, plagi bardzo przykręj i dla publiki bardziej wymagającej, i dla kasy.

Zdaje nam się więc, że dyrekcya rządowa, jeżeli istotnie obejmie projektowany teatr trzeci, uczyni to z korzyścią i dla publiki, i dla sztuki, i dla interesów pieniężnych teatrów już istniejących. Bądź co bądź, teatr taki potrzebnym jest

niezawodnie i prędzej czy później do skutku przyjdzie; lepiej więc stokroć, jeśli się to stanie w sposób taki, który nie wstrząśnie losami teatrów dotychczasowych. Możliwym on jest wtedy tylko, gdy sprawa ta wyłącznie od dyrekcji samęj zależęć będzie; inaczęj bezładna konkurencya scenie i sztuce szkodliwby tylko mogła.

Do pism projektowanych na przyszłość przybywa jeszcze jedno, p. t. bardzo obiecującym „Krytyk.“ Ma ono być wyłącznie poświęcone krytyce i sprawozdaniom z literatury i sztuki. Będzie to więc coś na wzór „Przeglądu krytycznego“, wychodzącego w Krakowie, tylko że miejsce sprawozdań o dziełach naukowych zajmą sprawozdania o teatrze, muzyce, malarstwie i t. p.

Pomysł bardzo dobry, a przedewszystkiem... nowy. W dziedzinie pomysłów, odnoszących się do wydawnictw peryodycznych, rzecz to na obecne czasy bardzo rzadka. Tyle się namnożyło pism jednakowego pokroju, kierunku, a nawet jednakowej treści, że doprawdy trudno byłoby wyrokować, czy więcej w tém pożytku, czy też szkody; miło więc usłyszeć, że ktoś na tém polu chce stworzyć rzecz nową, zupełnie odrębną, a więc obiecującą. Oby tylko „Krytyk“ istotnym a sprawiedliwym był krytykiem, zarówno dla innych, jak i dla siebie.

DR. FERDYNAND DWORZACZEK.

(Dokończenie.)

W Towarzystwie lekarskiem warszawskiem, którego był członkiem, bronił zawsze najgorliwiej i bez wszelkich ubocznych względów zasad poważnych i zdrowych, zarówno przeciw uprzedzeniom rutyny, jak i nowostkom mody. W rozprawach ustnych i demonstracyach, siłą dowodów zawsze trafnych, wymuszał uznanie słuszności śmiało bronionej sprawy; a w pracach piśmiennych do druku: „O epidemiach“, „O gorączce tyfoidalnej“, „O rademacheryzmie“, rozjaśniał sporne punkta, zbijał błędy, własne poglądy i spostrzeżenia powszechnemu użytkowi przekazywać się starał, a na głównym widoku miał nie co innego, jak krzewienie zasad w danym czasie większej w zastosowaniach użyteczności. Rozprawy swojej anatomo-fizyologicznej, „O krążeniu krwi u płodu“, powoływanej przez s. p. Andrzeja Janikowskiego w wydanej pod powagą b. Rady lekarskiej królestwa Medycynie sądowej, Dworzaczek nie drukował, napisawszy ją również z powodu wszczętej w Towarzystwie lekarskiem w tym przedmiocie dyskusji, podobno z przyczyny, że mu się zdawała przedstawiać interes przeważniej teoretyczny. Dbałym zaś był o odnawianie się i ożywianie Towarzystwa, dla czego zawsze popierał w niem kandydatury ludzi młodych, a uzdolnionych.

Należą-ż słusznie do życiorysu tajniki duszy? Tak zaiste, o ile zwłaszcza wchodzi w sferę czynu, jako istotne jego sprzężyny. A czyliż potrzebujemy jeszcze dodawać, że mamy właśnie do czynienia z postacią, co w staro-klasycznym życia pojęciu, o ile się tylko nadarzyć mogła sposobność, czyn plastyczny, życiowo bardziej uwydatniający się, przekładała zawsze nad słowo, a słowo plastyczne, żywe, czynu bliższe, nad oderwaną od życia zabawę pióra?

Oto właśnie dobiegał Dworzaczek pełni meżkiego wieku i dojrzałych zasług, otoczony szcunkiem towarzysów zawodu, uwielbieniem blizkich, szczera wdzięcznością mnóstwa zobowiązanych, jawnymi dowodami rozlicznych towarzyskich hołdów, podobno niekiedy i skrytęj zawiści, a bezsprzecznie powszechnem w kraju uznaniem: kiedy spostrzegł zagrażającą mu utratę najdroższego zmysłu, podkopanego wysiłkiem, przyprawiającym o ów rodzaj ogólnej nerwowęj i moralnej drażliwości, wspólnej, a podobno nawet właściwej tyłu wyjątkowo uposażonym naturom, wy-

czepującym się, a nieukojonym i niewyczerpanym w dążeniach nieprzeparowanych. Napróżno bronił się i poddawał wszelkim, nie wyjmując najsroższych, środkom; napróżno się łudził nadzieją, zdławiającą męki zawodu. W pełni energii życia ujrzał się pozbawionym wzroku! A bezczynność byłaby dla niego katuszą sroższą od tych, jakie sobie zadawał, w nadziei zwalczania swego losu. Czyliż przeto na upadek pod ciężarem położenia skazywała go dobrotliwa Opatrzność?... Oto wewnętrznej pracy człowieka, która się kończy dopiero z życiem, nowe otwiera się pole. Lecz najprzód muszą się niesforne bóle ukoić. Trzeba się pogodzić z dobrotliwie chłuszczącą ręką. A jakże trudno ugasić pragnienia czynu, co prostą drogą zdawał się prowadzić do tryumfów jeszcze coraz świetniejszych! A teraz niedostawało mu jednego z potrzebnych, podręcznych, że tak powiemy, narzędzi. W pracy znajdował zawsze Dworzaczek najwierniejszy punkt oparcia; w pracy i teraz szukał pociechy, a głównie podobno zaspokojenia potrzeby zachowania wyższości, jakiej się dorobił. Czytywał książki, to jest czytywał sobie dawał, a zawsze z krytycznym na nie poglądem: lekarskie, filozoficzne, historyczne, literackie i ekonomiczne, zwłaszcza gospodarstwa wiejskiego dotyczące, bo otoczony rodziną, której jeszcze i w swoim kalécieństwie był podporą, osiadł na wsi w powiecie Łęczyckim, gdzie z tytułu położonych w kraju zasług miał sobie, na przedstawienie władz, oddaną na dogodnych warunkach dzierżawę w dobrach rządowych.

I tu nie przestał być czynnym, nietylko na polu umysłowej pracy, ale i publicznej posługi. W Warszawie jeszcze niedostatek wzroku w badaniu chorych zastępując nabytą oddawna mistrzowską wprawą dla lekarza bodaj czy nie ważniejszych częstokroć zmysłów dotykania i słuchu, był poszukiwanym doradcą stróżem zawsze poważnych zasad postępowania lekarskiego i najzaufanym powiernikiem zdrowia, a często i domowej spokojności licznych swoich wielbicieli. Teraz domek jego wiejski w Topoli, tak długo jak w nim zamieszkał, był zbiegowiskiem chorych nietylko z okolicy, ale i ze stron dalekich, co przybywali tam, pewni rady najskuteczniejszej. A i w kwestiach gospodarstwa i w tylu innych potrzebach szukali u niego sąsiedzi zdania, biędniejszy zaś luddek pomocy. Mielizbyśmy się jednak dziwić, że ani to wszystko, ani stosunki przyjacielskie lub rodzinne nie ugasały jego pragnień? albo-li temu, że najmilszą mu rozrywką i w cierpieniach poszukiwaną osłodą było, lubo niepozbawione jeszcze niecierpliwości i rozrywającego bólu, rozmyślanie tajemnic życia, któremu już od tak dawna, badając nietylko ustrój człowieka, ale i sprężyny czynów, myśl swą poświęcił? Sledził drogi, jakie w kierunku poznania owych tajemnic przebiegał dotąd umysł ludzki, te zwłaszcza ze szczególnym upodobaniem, które mu się najpewniejszymi wydały, w nadziei że sam teraz zdola jak można najbliżej ich ostatecznego końca dopatrzeć. Jeżeli mu się to udało niewięcej nad możność rozumowych usiłowań, dosłuchał się natomiast głucho jeszcze zaiste bijącego tętna wieku i przejrzał niemało w pomroce dążeń, co miały wkrótce jawniej i potężniej światem zawładnąć. Miał-że się przed niemi cofnąć? on, uczestnik zwyciężkiego pochodu ludzkości w dziedzinach wiedzy? Miał-że się ulęknąć? on, bojownik postępu, co mu nawzajem dostarczał skrzydeł do wynaszania się w wyżyny życiowego doświadczenia? Miał-że im odmówić usprawiedliwienia bytu? on, co rzeczywiście potrafił, jak widzieliśmy, na innem polu sprzęgać do wspólnej posługi poglądy rzekomo sprzeczne i fatalnie do wzajemnego wyłączenia się dążące? Na drodze jego rozmyślań wychylał się ów kwiat tajemniczy, co to o nim wyrzekł poeta nasz młodoci, że nim „potrzasa zapał w rajskiej krainie uludy“, a który podobno rzeczywistość najnielitościwiej z ozdoby powabów odziera. Za trzeźwością ubiegający się, mógł-że się odstręczyć jego odurzającą wonią? on, co przywykł posługiwać się rzekomo wrogimi siłami i obracać je w niewolniki celów szlachetnych? Lecz nie wy-

chylił do dna przygotowanego zeń trunku. Bezdušność i bezcelowość świata, ów kardynałny podobno dogmat dzisiejszego epikureizmu, pokazał mu się mniemaniem nierozumnym, daleko jeszcze bardziej niż wstrętnym. Z drugiej wszelako strony takiemu zablakaniu się rozumu przypisał znaczenie stąpienia nie na grzązki skraj bezdennej topieli, lecz w wybój nierówny wprawdzie, ale zawsze do celu prowadzącej drogi.

Nie leży w naszych rozszewnieniach, ani w założeniach niniejszego życiorysu, wytykać usterki lub zalety naukowe filozoficznych poglądów Dworzaczka, publicznie dotąd wygłoszonych. Dopelni może kiedyś tej pracy pióro kompetentniejsze. Zwrócimy zaś na to tylko uwagę, jak żarliwie głos podniósł w tym zaufaniu, że silnym, przekonywującym słowem nawoła do zasypania corychlej owego to rzekomego wyboju i zjedna uznanie w rzeczach i w sprawach Boskiego ładu i stosowności, którą nauczył się uznawać, podziwiać i kochać, pozoram i niestropiony, przy tak pilnym, gruntownym, pewnym i skutecznym badaniu spraw ustrojowych, co w nich przyjmował sumienne współkierownictwo. A sam-że ustrój, tak odpowiednie duszy narzędzie, nie jest-że, powtarzał, dowodem, że ona buduje go sobie na cielesną dziedzinę według myśli, jaką ją twórcza obdarzyła ręka? A budując, dodawał w tym miejscu, powołuje z kolei uśpione dawniej atomy materii do udziału w sferach życia, w sferach najwyższych prawdy i rozkoszy. I posługuje się niemi w celach własnych, lecz tylko do czasu, bo je w najbliższej już może chwili, wśród nieustannej wzajemnej wymiany, odda na podobny użytek innym istotom, myśl tylko, którą życie budzi, zachowując na wieczne własne dziedzictwo. Materja zaś, jako wspólna wszystkim istotom, które w owej wymianie łączy, jest niby ślubną obrączką bytu.

Rozwijanie się dziejowe takiego mniej więcej pojęcia życia stanowi jeden z głównych przedmiotów szeregu rozpraw Dworzaczka, dyktowanych na odczyty: „O życiu, według pojęć dawnych filozofów“, które w swoim czasie tak powszechne budziły u nas zajęcie. Do tegoż samego szeregu należą trzy jeszcze inne rozprawy. Jedną pod tytułem „Człowiek“, przedstawia w jasnych kolorach myśl zasadniczą, którą staraliśmy się streścić; druga z napisem „Rzecz dotycząca filozofii medycyny“, traktuje o władzach duszy; trzecia, najdawniejsza ze wszystkich i pierwsza też publicznie czytana, „O atmosferze“, obrazuje mianowicie domyślny, na zasadzie naukowych przypuszczeń, porządek powstawania rzeczy na ziemi, który rzeczywiście wypada w niej odpowiednim porządkowi sześciu dni Genezy. Wszystkie cechują się szczególniej obrazowością przedstawienia, poetyczną, w poważnym znaczeniu tego wyrazu.

Umilkły odczyty, lecz praca wewnętrzna nieukończona. Godzi-ż się przewidywać dalszej drogi? Dodamy tylko, że żywość umysłu nie wygasła, a nawet w wiejskim ustroniu znalazła sobie przedmioty odpowiedniego zajęcia w dobrych warunkach, do podobnego jak dawniej trudu. Może jeszcze ujrzemy nowe jego owoce.

Włodzimierz Dybek.

R o z k o s z .

Z miejscowością, w rycinie tu przedstawioną, łączą się wspomnienia dawniej świetności Radziwiłłowskiego domu, oraz wyborowego towarzystwa, które się tu zbierało w pierwszej połowie bieżącego stulecia.

Zdaje się rzeczą niewątpliwą, że do upiększenia *Rozkoszy* przyczyniła się siostra Jana III, Katarzyna z Sobieskich Radziwiłłowa, hetmanowa i kanclerzyna litewska, która przez lat 36 przebywając w Białym, wiele pamiątek po sobie pozostawiła. Bliżkie stosunki z dworem warszawskim były dla kanclerzostwa powodem, iż porzucając Nieśwież, tę odwieczną Radziwiłłowską siedzibę, przenieśli się do zamku białskiego, który odtąd wielkiej nabral świetności. Gdy jednak

w letniej porze pobyt w gmachu okolonym obronemiami wałami, napelnionym licznym dworem i załogą, nie był przyjemnym, zatuszniono do wiejskiej ustroni. Wśród ogromnych więc lasów otaczających Białą, o pół mili od miasta, obrano ładną miejscowość, obfitującą w bujną roślinność i w wodę, które życiu wiejskiemu tyle nadają powabu. Nasi magnaci umieli z darów natury korzystać; wkrótce też Rozkosz zasłynęła z piękności ogrodów, do których Radziwiłłowie, jak o tém pisze Siarczyński, mieli wielkie zamiłowanie.

Z owych czasów przechowały się cieniście w stylu włoskim plantacje, pięć stawów zasilanych wodą z płynącą tu rzeką Białką i wspaniałymi lipami wysadzona droga, wiodąca z Białego do Rozkoszy, wreszcie w pobliżu są ślady bażantarni. Dawniejszej jeszcze epoki sięgało założenie sławnego zwierzyńca, w którym, według opowiadania Rzączyńskiego, znajdowało się przeszło tysiąc jeleni, sarn i danieli (a). Wczasy łowów, na które Radziwiłłowie licznych spraszali gości, pałacyk w Rozkoszy był miejscem zebrania myśliwych. Julian Bartoszewicz, w artykule p. t. *Zamek białski*, podał głównie z pamiętników Matuszewicza opis uroczystości, jaką w r. 1762 wyprawił w Białym hetman litewski Michał Kaźmirz Radziwiłł, z powodu małżeństwa księcia generała ziem podolskich z Izabellą Fleminzanką, których z całą rodziną z Wołczyna do Białego zaprosił. Między pierwszymi w kraju dostojnikami znajdował się przybyły z Białegostoku Jan Klemens Branicki, hetman w. k. Po odjeździe książąt Czartoryskich, którzy z hetmanową udali się do Kostantynowa, Radziwiłł zawiózł sędziwego hetmana do Rozkoszy. Cały dzień trwało polowanie; zabili kilkadziesiąt sztuk grubego zwierza; następnie był świetny obiad, na którym licznie spełniano wiwaty. Radziwiłł o milę przeprowadził Branickiego, który udał się na noc do Kostantynowa, do swojej siostry Konstancyi, wdowy po Karolu Odrowążu Sedlnickim, podskarbin w. k.

Michał Kaźmirz Radziwiłł, zwany *Rybenko*, i jego syn Karol *Panie kochanku*, najwięcej przebywali w Nieświeżu; dopiero kiedy w r. 1776 książę Hieronim Radziwiłł ze swą małżonką Zofią, z domu Turn et Taxis, osiadł w Białym, wróciła dawna świetność miasteczka. Księżna Hieronimowa lubiła przebywać w Rozkoszy, a po śmierci męża (1786) i księcia Karola (1790) w porze letniej z synem swoim małym księciem Dominikiem w tym ustroniu mieszkala.

Ale w ostatnich latach zeszłego wieku skończyła się świetność Radziwiłłowskiego domu. Pozbawiony dawnych panów, zamek białski postradał kosztowne sprzęty i szacowną galerję obrazów. Pomimo jednak że i sam gmach, z rozkazu dzisiejszego dziedzica, księcia Hohenlohe, został zburzony, pozostała brama i wieża świadczą o dawniej okazałości; ale niedbalstwo miejscowej administracyi jeszcze na początku bieżącego wieku zupełną Rozkoszy przyniosło ruinę, tak iż z Radziwiłłowskich budowli nie tu nie pozostało.

Młody książę Dominik Radziwiłł, ostatni w prostej linii potomek ordynatów nieświeżkich, z cudzoziemki urodzony, nie umiał przechować świętych tradycyji swego domu, a chociaż ostatnie lata jego życia dowiodły w nim szlachetności duszy, poprzednie jednak cechowała lekkomyślność, z jaką trwonił ogromną przodków spuściznę. Najwięcej folwarków książę odprzedał z hrabstwa białskiego, którego część oddawna była w zastawie i znacznie obciążoną. Między innymi mieli tu pewne należności Kamińscy, które to nazwisko od wieków napotyka się w historii książąt na Olyce i Nieświeżu, a o jednym z nich książę *Panie kochanku* nie zapomniał w testamencie. Była to starożytna i zacna rodzina, która wydała kilku zasłużonych krajowi mężów, mianowicie w zawodzie wojskowym, o czém obszerniejszą znaleźć można wiadomość w wydanej r. 1856 we Lwowie dwutomowej monografii Kamińskich. Inną rodziną, z którą łączyły księcia Dominika bliżkie

(a) „Historia naturalis curiosa Reg. Poloniae A. M. D. L. Sandomiriae 1721.“ Część druga wydana została po śmierci autora 1742.



Rekwizycya. Kopia obrazu Alfreda Kowalskiego w Monachium.



Z widowni wojny. Powstańcy hercegowińscy w zasadzce.

FRAGMENT Z POEMATU.

stosunki, byli Michałowscy; z tych Teodor od pierwszej młodości nieodstępny był jego towarzyszem. Gdy księżę miał się żenić z Izabellą Mniszchówną, zapragnął aby jego przyjaciel razem z nim stanął na ślubnym kobiercu; za jego więc pośrednictwem ułożone zostało małżeństwo między Teodorem Michałowskim a panną Ludwiką Kamińską, córką Ignacego b. generała b. w. p. (a). Ślub obu par odbył się r. 1807 w Wiśniowcu. Że zaś, jak już wspomniałem, Kamińscy mieli jakieś summy u Radziwiłłów, księżę Dominik ustąpił Rozkosz nowożeńcom, którzy w tej majątności osiedli (b).

Kiedy po klęskach wojennych pomyslniejsze nastąpiły chwile, zbudziło się nowe życie w dziedzinie umysłowej i stosunkach społecznych. Zamysłowanie w piękności natury i sztuki, które, obok pielęgnowania nauk i towarzyskiego polotu, jaśniały wówczas Puławy, szerzyło się ztamtąd po całym kraju. Idąc za przykładem księżny Izabelli Czartoryskiej, której dzieło: „*Mysli o zakładaniu ogrodów*” wielki miało rozgłos, kobiety polskie nabrały estetycznego poczucia i głównie im kraj zawdzięcza przyozdobienie w tym czasie wielu siedlisk wiejskich. Stosunkowo najwięcej powstało pięknych ogrodów w najbliższej Puław okolicy lubelskiej i podlaskiej. Między innymi właścicielka Rozkoszy, pani Ludwika z Kamińskich Michałowska, zajęła się upiększeniem tego miejsca, i wkrótce, obok odwiecznych Radziwiłłowskich plantacji, powstał obszerny angielski ogród, odznaczający się umiejętnym doбором drzew, a na gruzach dawnego wzniesionego pałacyk zarządził niezwykłym w tych stronach życiem towarzyskiem.

W tym czasie historyczna łączność między warstwami naszego społeczeństwa nie była jeszcze zerwana, stosunki więc towarzyskie nie warunkowały się bogactwem, ale wspólnością tradycji i równością wykształcenia. To też w powabnej Rozkoszy, w gronie okolicznego obywatelstwa, spotykało się przybyłe z dalekich stron osoby, noszące najbardziej historyczne nazwiska. A nie był to zimny, salonowy stosunek; przeciwnie, panna w tu szczera życzliwość, objawiająca się nie raz względem osób w trudnym znajdujących się położeniu czynem szlachetnej pomocy i opieki, które umiano osłodzić serdecznym słowem i obejściem. Między miejscowym obywatelstwem nie brakło ludzi, odznaczających się światłem, publiczną zasługą i przechowujących narodowe tradycje. Z tych wymienię kasztelaną Franciszkę Wężyka, który przez lat kilkanaście mieszkając z rodziną w sąsiedztwie, wrodzonym dowcipem i darem rozmowy ożywiał tutejsze zebrania. Ale magnesem ściągającym tu najświetniejszą młodzież było liczne w tej okolicy grono pięknych pań i panien. Wśród nich jaśniała wdziękiem i ukształceniem córka właściciela Rozkoszy, dla której w czasie pobytu jej we Francji Lamartine skrócił piękny utwór poetycki, znajdujący się w jego dziełach.

Słyszając nieraz od ludzi starszych opowiadania towarzyskiego życia, które w tych stronach ogniskowało się w Rozkoszy, Konstantynowie, Witulinie, Grabanowie i Neplach, żalować przychodzi, że nikt nie skrócił tych wspomnień, które posłużyłyby do scharakteryzowania ówczesnego społeczeństwa.

W r. 1842 dobra Rozkosz przeszły przez małżeństwo w dom hr. Lubieńskich, za których zostały znakomicie zagospodarowane; dzisiejsi zaś właściciele, hr. Mielżyńscy, starannie utrzymują tę pełną wspomnień majątność, słusznie noszącą swe powabne nazwisko. J. Loski.

(b) Ignacy Kamiński, wzięty w niewolę pod Maciejowicami, był przyjacielem Kościuszki i prowadził z nim korespondencję, z której parę listów przechowało się. W starości swój przebywał przy córce w Rozkoszy. Nagrobek jego znajduje się na cmentarzu przy kościele farnym w Białym. (Opuszczony jest w Encyklopedyi Orgelbranda.) Syn jego Józef był także generałem. Krewnym poprzedzających był Henryk Kamiński generał († 1831), którego syn Henryk znany jest z pism treści ekonomicznej i politycznej.

(b) Ostatecznym układem, zawartym w r. 1822 z prokuratorem masy Radziwiłłowskiej, Michałowscy nabyli Rozkosz, ze wsią Hrudem, za 213,541 złp.

Pieśń o Stojanie, z bułgarskiego poety Miladinowca i Pieśń bojowa Chorwatów.—Swobodne przekłady.

Pieśniarz (trzymając kielich w ręku).

Gnany losów wiecznym szalem,
Z kwiatem w sercu, z lutnią w dłoni,
Nad niedolą wciąż bolalem;
Więc i lutnia smutno dzwoni...

Dziś sam jeden, siwy, stary...
Mogę jeszcze się spodziewać?
Mogę?!... cicho... piję z czary,
Dla młodzieńców będę śpiewać.

Bulgar.

Pieśni!—pieśni o wolności!

Pieśniarz.

Chyba o sromocie... turecki niewolniku.

Bulgar.

Zawszeż, zawsze niewolnik!—To drapie pazurem, ogniem pali.—Starcze, ładnie tobie w tym wieńcu... starcze, śpiewaj: w pieśni życie Słowianina, w pieśni nadzieja nasza. Śpiewaj, śpiewaj jeszcze, choćby ci serce z pieśnią pękło...

Pieśniarz (śpiewa).

Matka dziecię kołysała,
A kołysząc tak śpiewała:
„Nani, synu mój, Stojanie,
Z oków wyrwij swą krainę,
Wyrwij carstwo z rąk tureckich
Poojcowskie, pomatezyne.“

Stojan matce odpowiada: (1)
„Matko, matko! dusza rada;
Lecz ból dziki serce ścisła:
Mam-li szable wyostrzone?
Poojcowski mój burzdygan?
Mam-li wojsko wyćwiczone?“

„Masz, Stojanie, dziecię moje,
Ostrą szablę, kutą zbroję.
Z rannem wstań w niedzielę słonkiem,
Z wiarą pomódl się do Boga;
Cały naród twój powstanie:
Wezwij naród, idź na wroga!

„Nie dopuszczaj tylko zwady;
Chytrych Greków bój się zdrady:
Tam w Edrenie, wielkim grodzie,
Twego ojca raz zdradzili;
Turey naszych w pień tam zsiekli,
Poplenili, poturezyli.“

Nie na polu, nie w dolinach,
Na skalistych gór wyżynach
Stojan wojska swe rozstawił.
Miejsca zajął od przechodu;
Lecz go zwietrył Greczyn chytry,
Patriarcha z Carogrodu.

On z pod swego śpieszy dachu:
„Cześć ci, carze Padyszachu!
Cześć i sława twój światłości!
Niecny buntem wrą narody:
Chee ci carstwo twe odebrać
Wódz z Tarnowa, Stojan młody.“

Na to sultan rzecze stary:
„Patriarcho, głowo wiary,
Daję wojsko tobie wielkie,
Siedemdziesiąt pięć tysięcy;
Idź i bij giurowe plemię
Conajwięcej, conajwięcej!“

(1) Niewłaściwość odpowiadania Stojana z kolébki tłumaczy się w poemacie p. Miladinowca charakterem pieśni ludowych.

Wiedzie zdrajca liczne rotę,
Trąbi Stojan w róg swój złoty:
„Wojewody! mężna młodzi!
Wnet rozwinąć krwawe znamię;
Kto jest junak nad junaki,
Z szablą pierwszy wzniesie ramię.“

Naprzód!—naprzód wojsko wywieść,
Patriarchę żywcem przywieść...
A lis szczwany patriarcha
Zemknął cicho z wojska swego...
Bulgarowie Turków zsiekli
Do jednego, do jednego.

Zahuczało nad górami:
Ciągnie Greczyn z Arabami...
Trudno szablom z wichry walczyć: (1)
Stojan cofa się w nieładzie...
Patriarcha sułtanowi
Podłe słowa w uszy kładzie:

„Carze, wielki padyszachu!
W buntowniczych Słowian gmachu
Wszystkich zaraz każ poturezyć,
Albo żywych zaryć w grobie;
Ja już naszę ci naczynców,
Oni wierni będą tobie.“

Słucha sułtan, rozkaz daje:
Wnet poturezyć Słowian kraje;
Cerkwie ich w meczety zmienić,
Powywieszać wszech władków.
Zapłakali Bulgarowie
Płaczem strasznym niewolników.

Bulgar.

Daj, daj mi lutnię swoją... Tyś śpiewał dumę
naszego poety Miladinowca... Turki umęczyli go
za nią... (2) Daj, daj mi lutnię, odpowiem pieśnią
Chorwatów.

(Śpiewa.)

Naprzód chorągiew sławy!
Leć w bój, junacka krwi!
Za los ojezyzny prawej
Niech działo dzisiaj grzmi!

Z orężem w prawej ręce
Wrogom nanieśmy grom!
Utopmy w krwi i męce
Tych co nasz grabią dom!

F. M. Eysymont.

Przegląd polityki zagranicznej.

2 listopada.

„Goniec rządowy“ ogłosił co następuje: „Dziś 18 (30 października Najjaśniejszy Cesarz rozkazać raczył, aby generał-adjutant Ignatiew oświadczył Porcie, iż jeżeli w ciągu dwóch dni nie przyjmie zawieszenia broni na sześć tygodni lub dwa miesiące i nie poleci bezzwłocznie powstrzymać działań wojennych, wówczas generał Ignatiew z całą ambasadą opuści Konstantynopol i stosunki dyplomatyczne zerwane rostaną.“

Tak więc wkrótce telegram zawiadomi nas o skutkach ultimatum, przesłanego Turcyi przez gabinet st. petersburski. Sądźmy że Turcyi nie ośmieli się odrzucić przedstawionych jej warunków, przypuszczamy zaś to nie z obawy o los tego przeżytego państwa, lecz w nadziei że przez to nastąpi ulga dla biednych naszych serbskich współbratymców, pozostających obecnie pod naciskiem całej armii tureckiej.

(1) Arabowie, synowie pustyni, przyrównani tu są do wichrów szalonych.

(2) Historyczne. Pieśń następna bojowa jest tłumaczeniem z języka chorwackiego: *Naprej!*

Przegląd teatralny.

Zwycięstwo odniesione przez Turków pod Dżunisem, ułatwiło im drogę do Aleksinaczu. Już w dniu 30 z. m. konsul Karcow telegrafował do Liwadi, upraszając w imieniu ks. Milana o wyjednanie rozejmu, lub interwencyą zbrojną. Odebrane później dwie depeze z Konstantynopola i Zemlina potwierdziły konieczność tej próby. W rzeczy samej, z telegramu stambulskiego dowiadujemy się, że w d. 31 z. m. Turcy szturmem zdobyli Aleksinacz, a z depezy ziemlińskiej, że wszystkie wojska serbskie wysłano do Paraczyna i Deligradu. Cała ludność powiatu kruszewackiego powołaną została w nocy z d. 31 z. m. do obrony Kruszewacza.

W d. 30 z. m., przy otwarciu posiedzeń parlamentu niemieckiego, z powodu lekkiej słabości cesarza, mowa tronowa odczytana została. Cesarz na wstępie zaraz zaznacza, że stosunki Niemiec z zagranicznymi mocarstwami są jaknajlepsze. Rząd niemiecki stara się o utrzymanie przyjaźni między sąsiadami i zapewnienie pokoju, w każdym zaś razie, bez względu na to co przyszłość przyniesie, naród niemiecki może być pewnym, że krew jego synów przelaną tylko zostanie w obronie własnego honoru i własnych interesów. W końcu cesarz wyraża nadzieję, że cesarstwo niemieckie będzie silnym przedmurzem pokoju wewnętrznego i zewnętrznego. O układach z innymi mocarstwami mowa tronowa żadnej nie zawiera wzmianki. W każdym razie atoli uważać ją można za uroczyste potwierdzenie. Przypomina trzech mocarstw, a okoliczność ta niemal jest wagi, wobec wikłających się coraz bardziej spraw Wschodu.

Według ostatnich depez z Belgradu, pod Dżunisem znajdowało się 80,000 Turków, z wielkim materiałem oblężniczym; nie więc dziwnego, że szczupły zastęp Serbów nie mógł utrzymać zajmowanych przez siebie stanowisk. Jakkolwiek niema dotąd ze strony serbskiej potwierdzenia wiadomości o zdobyciu Aleksinaczu przez Turków, fakt ten jednakże jest prawdopodobnym, jak to zresztą widać z rozkazu wydanego całej armii serbskiej, aby zdążyła ku Paraczynowi i Deligradowi. W Zemlinie w d. 31 z. m. wątpiono, aby Horwatowicz z osłabionym swym oddziałem mógł powstrzymać Turków na drodze do Kruszewacza. Miasto to opuszczone już zostało przez mieszkańców i uważane jest za stracone.

Donoszą z nad Dryny, że i tam Turcy rozpoczęli działania zaczepne i posuwają się naprzód od Małego-Zwornika i Popowa. Ze źródeł czarnogórskich wiadomo, że w d. 1 b. m. komunikacja między Podgorycą i Skutari przecięta została przez Czarnogórców. Zdobyta niedawno przez nich twierdza turecka Medun wysadzona została w powietrze. Od dnia 31 z. m. Czarnogórcy oblegają Podgorycę i bombardują ją z 4 dział pozycyjnych, zabranych w Medunie. Jedna bateria podgorycka już zdemontowana została.

OSTATNIE TELEGRAMY. Londyn, 1 listopada. Wszystkie dzienniki poranne przypuszczają, że Turcy ulegnie ultimatum rossyjskiemu. Times sądzi, że mocarstwa doradzą sultanowi, aby nie przyprowadzał Rossyi do ostateczności.

Belgrad, 1 listopada. Słychać że rząd turecki zgodził się na dwumiesięczny rozejm i że Serbia także go przyjęła. Wszyscy Serbowie bawiący za granicą wezwani zostali do powrotu do kraju, celem spełnienia powinności wojskowej.

Konstantynopol, 31 października. Agencya Havas zawiadamia, że Porta zgadza się na dwumiesięczne zawieszenie broni, z przedłużeniami sześciotygodniowymi, jeżeli tego wymagać będą układy. Zawieszenie broni nastąpi w Serbii, Czarnogórze, Heregowinie i Bośni. Delegacya wojskowych urzędników ambasad oznaczy linie demarkacyjne.

(Ind. Bel. Sch. Ztg. Jour. des Deb. Nord. Times)

Falszywe blaski, komedia w jednym akcie, przez panią Zofią Mellerową. (Zalecona do grania na konkursie warszawskim).

Ze utworu pani Mellerowej, chociaż przez autorkę komedią nazwany, nie jest nią rzeczywiście, o tem przekonają się czytelnicy z treści, którą tu pobieżnie naszkicujemy.

Łubin, wierszopis uchodzący za poetę, zakochał się w żonie Ksawerego, Leonorze, i olśniewszy młodą, niedoświadczoną a chorobliwie wyegzaltowaną kobietę „falszywymi blaskami“ miłości, bo do miłości prawdziwej samolubny jego charakter nie jest zdolny, falszywymi blaskami poezyi, której święty płomień nigdy nie ogrzał duszy rymującego na zimno składacza wyrazów i rachmistrza zgłosek—nakłonił ją do rozwodu i zaślubił. Wprędce nadchodzi dla Leonory rozczarowanie, kara lekkomyślnego postępków. Ludzie w rodzaju Łubina poczytują chwilowy szal zdenerwowanej wyobraźni za miłość. Uczucie takie—jeśli to uczuciem zwać się godzi—rozwięwa się szybko w prozie pożycia małżeńskiego; więc też Łubiniowi przykrzą się niebawem okowy, któremi dobrowolnie się spętał, i wraca do wrodzonych, zdaje się, nałogów swoich: lenistwa, przesiadywania z kolegami przy „czarnej kawie“, a nawet ów idealny niby marzyciel zaczyna szukać po za domem innych, mniej niewinnych rozrywek. Następnym próżniactwem Łubina jest niedostatek, któremu wysiłona praca Leonory zapobiedz nie może. Wkrótce o smutnym położeniu Leonory dowiaduje się jej pierwszy mąż, Ksawery, i poświęcając się dla żony, której nie przestał kochać, przyjmuje posadę gdzieś daleko na Wschodzie, a otrzymaną jako zadatek znaczną kwotę składa Leonorze, pod pozorem, że sumę tę przeznacza na wychowanie ich córeczki, Ewuni; dla Łubina zaś uzyskuje nominacyą na stanowisko, które sam zajmował poprzednio. Wtedy obłąkaną kobietę rozkwierają się oczy; porównywa szlachetność pierwszego swego męża z nicością moralną drugiego, a porównanie to uzupełnia jeszcze epizod następujący. Przybywa ze wsi do Łubina kuzyn jego, Filip, mający szczerą chęć wtajemniczenia się w uciechy warszawskiego żywota. Nieokrzesany, naiwny, niesmiały względem płci nadobnej, radby z tych przywar, a zwłaszcza z ostatniej, corychlej się otrząsnąć. Napięta więc odwagi i to w sposób zanadto... realistyczny; zastawszy bowiem Leonorę samą i we łzach po odejściu Ksawerego, rozpoczyna obcesowo zaloty i po krótkiej chwili składa pocałunek na nóżce Leonory. Obrażona kobieta rozkazuje mu oddalić się; na hałas wchodzi Łubin i dowiedziawszy się o co idzie, a spostrzegłszy przytęm nominacyą przyniesioną przez Ksawerego, surowo gromi żonę za to, że przyjęła odwiedzin pierwszego męża, a zarazem usiłuje nakłonić ją do pobłażania względem Filipa, ponieważ kuzyn jest majątny i „może im być przydatnym.“ Te słowa dopełniają miary: Leonora wyrzuca mężowi zawód swój i rozczarowanie i odjeżdża go nazawsze. Kurtyna zapada na słowach Filipa, że widocznie Leonora „lubi puszczać mężów w trąbę.“

Z tego szkicu przekonać się łatwo, że zdanie na początku przez nas wyrażone znajduje potwierdzenie swoje w samej sztuce rozbiętej. „Falszywe blaski“ nie są komedią, ani ze względu na treść, ani na charakter. Łubin, to osobistość nie dramatyczna wprawdzie, ale zanadto wstrętna, aby ją do typów komediowych zaliczyć można. Leonora i Ksawery ze wszech miar należą do postaci tak zwanego dramatu mieszczańskiego (*drame bourgeois*). Do tej samej kategorii należy i sympatyczny, dosadnie skróśłony charakter stariej sługi, Janowej. Co do Filipa zaś, ten z poprzednimi stanowi krańcową sprzeczność, jako przedstawiciel tego najniższego rodzaju komedii, który pospolicie zowie się *farsą*. Być może, iż ze względu na Filipa „Falszywe bla-

ski“ otrzymały nazwę komedii; ale naszym zdaniem powód to najzupełniej niewystarczający, tak samo jak do nazwy komedii nie daje im prawa nieestetyczna czasem gra wyrazów, oraz podejrzaną wartość koncepta naiwnego, a w gruncie zepsutego młodzieniaszka.

Węzła dramatycznego, intrygi w „Falszywych blaskach“ niema wcale; widzieliśmy tylko przesuwające się osoby i mówiące to, co autorka, w celu uwydatnienia charakterów, włożyła im w usta. Dlatego też większa połowa sztuki wydaje się ekspozycją, zawiązkiem dopiero; druga połowa jest jakby początkiem rozwiązania; lecz zakończenia istotnego oczekiwaliśmy jeszcze w chwili zapadania zasłony. To zakończenie bowiem, jakie autorka dała swemu utworowi, mogłoby dla pisarza dramatycznego być właśnie punktem wytycznym do stworzenia dramatu, osnutego na procesie psychologicznym, do którego takie dane, jak niewygasła miłość Ksawerego, zaznaczona lekko przy końcu zgryzota i żal Łubina, oraz stanowisko Leonory względem obu, obfitego dostarczyłyby materiału. Sztuka zaś, tak jak jest, wydaje się raczej rozdziałem, wyjętym z powieści, niż zaokrągloną całością sceniczną; powiemy nawet że cel, jaki sobie autorka założyła, to jest wykończone, miniaturowe skróślenie charakteru Łubina, a po części i innych osób, daleko łatwiej i zupełnie dalby się był osiągnąć w formie powieściowej, tam bowiem autor może uczynić to, co na scenie jest niepodobniestwem: może w każdej chwili przerwać dyalog czy akcyą i wyjaśnić od siebie czytelnikowi swoją dążność.

Błędem też niemałym w budowie komedii pani Mellerowej jest, naszym zdaniem, to właśnie, że ograniczywszy utwór swój do jednego aktu, zniewoloną była poświęcić znaczną jego część na dyalogi, służące jedynie do tego, aby słuchacz mógł pojąć dostatecznie, co to zacz ten pan Łubin. Wynika z tego błąd drugi, że rozczarowanie Leonory, zamiast powstawać stopniowo, pojawia się nagle i wygląda raczej na chwilowy gniew rozdąsaną pieśczętka, aniżeli na wynik całego szeregu cierpień i zgryzot. Ostatecznie więc i katastrofa dramatyczna, wyjazd Leonory, nie czyni odpowiedniego wrażenia, bo wydaje się krokiem, uczynionym w zapędzie chwilowym, a takie kroki nie są niecofione. Słuchaczowi zatem przedstawia się, po zapuszczeniu zasłony, dylemat taki: albo Leonora pożałuje swęj porywczosci i powróci do męża; albo też jest-to istota niekonsekwentna, płoża, lekkomyślna, która—kto wie—zechce może po raz trzeci i czwarty próbować szczęścia w związkach małżeńskich.... Dodajmy, że zacytowany wyżej, niby dowcipny wykrzyknik Filipa, temu ostatniemu mniemaniu nadaje niejaką wagę.

Dłużej rozpisywać się nad „Falszywymi blaskami“ nie będziemy; bezstronność wszakże nakazuje nam wyznać, że kilka w nich ustępów zrobiło na nas dość silne wrażenie. Na pierwszym miejscu kładziemy pod tym względem chwilę, w której Ksawery przynosi Leonorze nominacyą dla Łubina i pieniądze na wychowanie Ewuni. Pan Królikowski wlał w tę jedyną scenę swojej roli wszystkie zasoby artyzmu, któremitak po mistrzowsku włada, a wspierany dzielnie przez pannę Deryng, uczynił z tej chwili punkt kulminacyjny całej sztuki. O wykończeniu charakteru Łubina mówiliśmy już poprzednio: autorka skróśleniem tej postaci dowiodła, iż dar spostrzegawczy w wysokim posiada stopniu. Pan Tatar-kiewicz charakter poety-realisty pojął jak należy, bo ultra-realistycznie, i dał nam całość skończoną, godną najlepszych kreacyj tego artysty. Pan Szymanowski szczęśliwie uniknął szarzy, do której rola Filipa nader wdzięczne pole przedstawia, i tem właśnie umiarkowaniem swoim osiągnął znakomite efekta. Nawet i panna Micińska, w drobnej roli stariej Janowej, dostrajała się do tonu ogólnego.

Kronika paryzka.

Kwestye społeczne we Francyi.—Stanowisko i wymagania klasy rzemieślniczej.—W jaki sposób posługuje to szarlatanom i kuglarzom politycznym.—Anegdota o Michałku Wojciechowskim.—Jego definicya o ilości rozumnych ludzi w społeczeństwie.—Trudność jasnego zrozumienia kwestyi rzemieślniczej i próżne usiłowania, aby ją praktycznie

rozwiązać.—Jakie są ustępstwa i przywileje, otrzymane dotąd przez *ouvrierów* i jakie jest prawdziwe zadanie ich poszukiwań.—Kongres rzemieślniczy.—Wspomnienie o sławnym dekrete *Barpes'a* i *Sorbiera*.—Roztrząsane kwestye: o pracy kobiet; o izbach syndykalnych; o radzie *Prudhomistów*; o czeladnictwie; o towarzystwach wspólnej pracy; o braku roboty; o kasach oszczędności; o robotnikach rolniczych.—Próżne usiłowania kongresu.—Niepraktyczność zgromadzenia i jego członków.—Rzeczywisty powód smutnego położenia klasy rzemieślniczej we Francyi.

Paryz, 20 października 1876 r.

Redakcyja Tygodnika, która żadnej ważniejszej kwestyi społecznej, czy literackiej, nie zostawia odłogiem u siebie w domu—wymaga również od swoich korespondentów, aby patrzyli bacznie na to, co się wokoło nich dzieje, i zdawali sprawę wierną o wszystkiém, co może nauczyć, oświecić, lub choćby tylko zająć publiczność naszą. Każdy



Rozkosz, majątność hr. Mielżyńskich, w gub. siedleckiej.

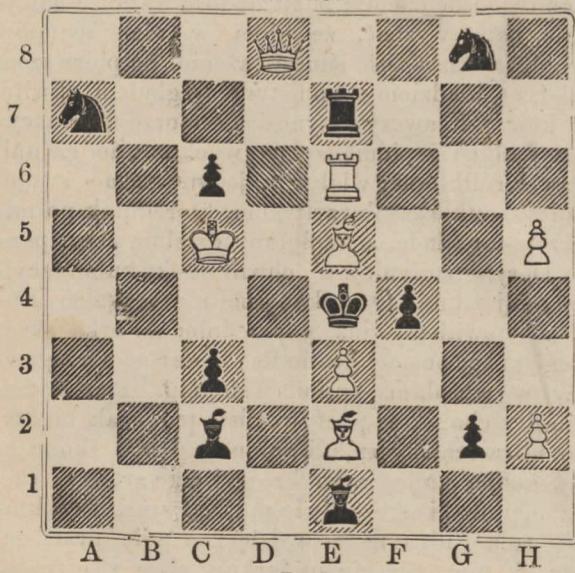
277

SZACHY.

ZADANIE XXXIX.

Białe zaczynają i dają mat za 3 posunięciem.

Czarne.



Białe.

Rozwiązanie zadania szachowego nr. 38.

Białe.

Czarne.

- 1) H3—F2 . . . 1) D4—C4 (a).
- 2) F2—D3 . . . 2) C4—B3 biorą.
- 3) G3—G8 † i mat.
- (a) 1) A3—A2.
- 2) B3—C3 . . . 2) A4—C3 biorą.
- 3) G3—C3 † i mat.

NAKŁAD JÓZEFA UNGRA.

Biesiada Literacka

PISMO LITERACKO-POLITYCZNE

ILLUSTROWANE,

wychodzi raz na tydzień w piątek.

W IV kwartale r. b. drukować będzie, oprócz artykułów naukowych i społecznych, powieść *J. Zacharyasiewicza* p. t. *PREFERANS PO ŚMIERCI*, powieść *W. Łozińskiego* p. t. *GŁOWA HOSPODARSKA* i nowy utwór poetyczny *Elego (ASNYKA)*. *LISTY z ZAKĄTKA J. I. Kraszewskiego* będą stałym miesięcznym działem.

Cena:

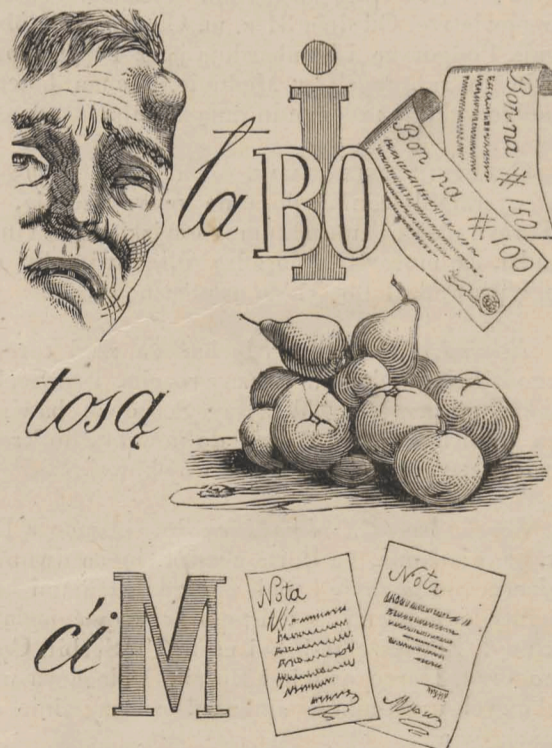
- w Warszawie rocznie rs. 4.
- „ półrocznie rs. 2.
- „ kwartalnie rs. 1.
- w cesarstwie i na prowincyi rocznie. rs. 5.
- „ „ półrocznie rs. 2 kop. 50.
- „ „ kwartalnie rs. 1 kop. 25.

Komplety od początku roku są jeszcze do nabycia.

Adres: Józef Unger, Nowolipki, nr 2406 (nowy 3)

REBUS.

278



Znaczenie rebusa umieszczonego w nr. 44. [Za lenistwem idzie bięda, a często i upodlenie.]

Gusta i rabobony to są owoce ciemnoty.

więc z nas stoi jakby na posterunku, na przedniej straży, otwiera oczy i uszy i spisuje, jak umie, swoje spostrzeżenia. Ztąd to pochodzi, że w korespondencyach, jak w kaleidoskopie, mienia się coraz barwy i kształty, że wczoraj smutne, dziś wesołe, jutro nudne, a czasem tylko zajmujące opowiadania spotyka publiczność w naszych listach. Na to potrzeba wyrozumiałości, bo każdy z nas *homo est et nihil quod est humanum...* Ale dajmy pokój łacinie i przystąpmy do rzeczy.

Jedną z najważniejszych kwestyj społecznych, a ztąd i politycznych, która tu od lat czterdziestu przynajmniej znajduje się na porządku dziennym, jest kwestya bytu klasy rzemieślniczej. *Ouvrier*—to jedno słowo zawiera w sobie wszystko, cokolwiek w całym swym życiu wymarzyła i urzeczywistniła ludzkość. Jest to ostatnie zapewne, tak się przynajmniej zdaje, streszczenie wszystkich praw, domagań się i życzeń, które ludzkość przyniosła z sobą na świat, z których niejedno potrafiła wprowadzić w życie i w rzeczywistość, lecz z których inne okazały się niestety zagadnieniami nierozwiązalnymi, marzeniem i uludą tylko. Zdaje się nawet, że kwestya rzemieślnicza, tak jak jest postawioną dzisiaj, składa się wyłącznie i jedynie z tych ostatnich zagadnień, — to jest z marzeń, których urzeczywistnienie wierutnym okazało się złudzeniem. (*)

Boję się aby to co powiadam nie sprowadziło na moją głowę piorunów i grzmotów. Tém zagadnieniem bowiem posługują się dziś na świecie kuglarze, poszukujący już to zaspokojenia gwałtownych namiętności politycznych, już nasyceń tej pożądlivosti osobistej, nikczemnej i brudnej, która im pali wnętrzości. Dla jednych jak dla drugich jest rzeczą *siñe qua non* mieć bez końca sumienia i tę trochę rozumu, mieszczącą się w biednych głowach ludzi, których niezmierną większość pozbawioną jest środków moralnych, by osądzić zdrowo i jasno to, o co chodzi.... Niedłatego wcale, że ta większość składa się z rzemieślników, z prostaczków—bo rzemieślnik jest człowiekiem i może, jak każdy inny, zostać luminarzem, pochodnią światła ludzkości. Niedłatego więc, ale dlatego, że aby zrozumieć tylko, nie mówię już rozwiązać, tak zwikłaną, tak głęboko dotkliwą kwestyą, potrzeba mieć obszerną i wielostronną naukę, a szczególnie zdrowy rozsądek.

Tu, czytelniku kochany, pozwól niech ci opowiem naszą szlachecką anegdotkę. Był niegdyś na Podolu niejaki Wojciechowski, znany powszechnie pod imieniem Michałka. Był to sobie prostaczek, ale, jak powiadają: z głupia-frant. Wiedząc o tém, jak zdrowie smakuje tym, którym się zepsuje, zaczął się wdawać w leki i powoli, powoli, wy kierował się na rozgłośnego doktora.

Kiedy tak ustalił swą sławę, a nakoniec i dobrą wieś kupił, wypadek zrzucił, że w domu jakiegoś chorego spotkał się z rzeczywistie uczonym i znakomitym lekarzem. Że w gruncie ów Michałek nie był głupi, wobec więc znakomitego kolegi przyjął stanowisko skromne, potulne, a zostawszy z nim w cztery oczy, wyznał szczerze iż nie rozumie wcale, dlaczego sprowadzono go do chorego, przy którym znajduje się lekarz takiej nauki i talentu, jak doktor X***. Tamten, jako człowiek rozumny i wyższy, przyjął to w sposobie żartu, prowadził rozmowę uprzejmie, a nakoniec zapytał Michałka: „Powiedz-że mi, kochany kolego, ponieważ raczyłeś przyznać mi i naukę, i znajomość rzeczy, z kąd to pochodzi, że gdy przed twoją bramą stoi kilkanaście naraz powozów, do mojej dwa lub trzy zaledwo zajeżdżają?” — Hm! mruknął zapytany—ilu też prawdziwie rozumnych ludzi sądzi kolega że się znajdzie na sto osób, wziętych bez wyboru? — „No,—odpowiedział z uśmiechem doktor—*prawdziwie rozumnych* dwóch albo trzech.”—Owóż, zakonkludo-

wał Michałek—tych dwóch lub trzech uda się do ciebie, szanowny kolego, a reszta—97, pojedzie do mnie.

Toż samo powiedzieć można i co do kwestyi która nas zajmuje. Każdy chce ją rozbiierać i sądzić, a setny zaledwie zrozumieć ją potrafi.... Pokazało się to najwyraźniej na tylko co zamkniętym w pierwszych dniach b. m. kongresie tak zwanym rzemieślniczym. Perorowano wiele, spierano się mało, dla ważnej tej przyczyny, że zgromadzeni byli jednego zdania—ale nie wyprowadzono żadnego wniosku, coby praktycznie i zdrowo odpowiedział założeniu.

Aby zrozumieć dlaczego rzecz się tak stała, powiedzmy najprzód jakie jest w tej chwili założenie klasy rzemieślniczej we Francji i co jest do rozwiązania. Co się znajduje w głowie i sercu każdego z owych rzemieślników, którzy stają w ordynku, gotowi poszukiwać, jak mówią, praw swoich, *per fas et per nefas?*—Otóż tém zagadnieniem, sprowadzonym do najprostszyc słów kilku—jest zdobycie w jakibądź sposób pewnego nieokreślonego kapitału, ma się rozumieć jaknajwięcej, i zmniejszenie przytém pracy.... Proszę, aby mi nie posadzono o żarty, albo przebranie miary. Powiadam to seryo, a najlepszy dowód tego każdy z czytelników znajdzie w kolumnach dziennika *La Tribune*, który stał się monitorem urzędowym tego zgromadzenia i przedrukował in extenso, a nawet z poprawkami, wszystkie mowy, wygłoszone na ósmiu posiedzeniach kongresu....

Zresztą dosyć przypomnieć dawniejsze wymagania klasy rzemieślniczej we Francji, aby się przekonać, jakie stanowisko ta klasa zajmuje tu dzisiaj i jakie mogą być jej wymagania na przyszłość.

Na pierwszym zaraz kroku spotykamy żądanie wolności pracy, czyli, tłumacząc zrozumiałej ten ogólnik, zniesienie cechów. Po długich rozprawach, po przytoczeniu dosadnych dowodów, że to zniesienie byłoby szkodliwym dla rzemieślników, że jeśli są nadużycia, należy je usunąć, nie wywracając ustawy cechowej — zniesiono jednak cechy i dano zupełną wolność pracy. Wyzwolony w ten sposób rzemieślnik znalazł się wolnym, to prawda, ale też znalazł się bez żadnego punktu oparcia, bez kierunku i prawie bez celu.

Następnie zażądano dlań (co było wypływem ogólnej reformy wielkiej rewolucji francuskiej) wolności cywilnej i politycznej i... rzemieślnicy otrzymali ją, wraz z całym narodem. Wślad za tém oswobodzeniem i jako proste następstwo tej zmiany, wniesione zostały żądania: prawa zbierania się na zgromadzenia publiczne, łączenia się wspólnego, czyli koalicji, bezrobocia (*grève*) i nakoniec prawa tworzenia stowarzyszeń pracy (*Sociétés coopératives*). I wszystko to otrzymane zostało następnie i jest dziś w posiadaniu rzemieślników w téjże samej mierze, jak w posiadaniu każdego z mieszkańców i obywateli Francji.

Otóż pokazuje się, że wszystko to nie wystarcza tej klasie, która stanowi niezmierną mniejszość w narodzie, nawet i po miastach, będących głównym jej zbiegowiskiem. Ta mniejszość, biorąc za podstawę niczem nie ukrócone zuchwalstwo, domaga się dziś nie praw już, ale przywilejów wyłącznych — panowania i rządzenia krajem. Niedość na tém, głównym przedmiotem jej poszukiwań stał się kapitał, to jest pieniądze, zarobione i przechowane nie tylko u ludzi co za jej stoją obrębem, ale nawet u wyszłych z własnego jej łona.

Któs bardzo stosownie powiedział temi czasy, że kongres ten, gdyby był szczerym, powinien był wygłosić na pierwszej karcie swoich protokółów sławny ów dekret z dnia 15 maja 1848 roku, wydany przez Barbessa i Sorbiera; „Zważywszy że braterstwo nie jest czezem słowem i że powinno się objawiać w czynie, naród (*le peuple*) ustanawia podatek jednego miliarda na wszystkich kapitalistów, na korzyść pracowników (*travailleurs*).“ I rzeczywiście, jeżeli wejdziemy w grunt rzeczy, jeżeli podniesiemy zasłony, jakkolwiek słabe i przejrzyste, któremi mowy kongresu starali się pokryć swoje zbyt śmiałe i zastraszające nie słowa, lecz myśli—dojdziemy do tego przekona-

nia, że społeczeństwo we Francji stoi wobec nowego sfinksa, którego straszliwą zagadkę chyba miecz tylko rozwiąże.

Dnia 2 października, o godzinie 8-jej wieczorem, otwarty został kongres rzemieślniczy przy ulicy Arras (około Panteonu). Składać go mieli wyłącznie delegowani od klasy rzemieślniczej, z całej Francji; wiele jednakże miast od tej delegacji się usunęło. Sala była pełna; kilkanaście dam znalazło się na ławkach delegacji, w strojach dość wykwintnych, a wogólności bluzy zrzadka tylko dawaly się widzieć. Była-to więc arystokracja demokratyczna, jeśli tak się wolno wyrazić. Redaktorowie prawie wszystkich dzienników byli zaproszeni osobnymi kartami. I ja dostałem kartę, za wdaniem się mojego sąsiada stelmacha, który jest jednym z czynnych członków kongresu.

Pierwsze posiedzenie upłynęło niepostrzeżenie; urządzenie biura, przeczytanie raportu komisji organizacyjnej i wybory członków biura zajęły czas cały. Postanowiono wybór prezesa, na każde posiedzenie innego. W liczbie członków biura znalazła się obywatelka André, czyli, mówiąc po polsku, pani Jędrzejowa, kobięcina wcale nieszpeta i mogąca być ozdobą każdego kongresu. Pokłócono się trochę we względzie propozycji slusarza Nicaise'a o podziale delegowanych na sekcye, z których każda swoją specjalność mieć będzie, rozpatrywać ma odpowiednie kwestye i przygotować raporta. Propozycya się utrzymała, podział na sekcye przyszedł do skutku i posiedzenie na tém się skończyło.

Drugie posiedzenie kongresu, dnia następnego, poświęcone zostało ważnej bardzo kwestyi: *pracy kobiet*. Kilkunastu mówców wystąpiło, a w ich liczbie obywatelka Raoul'owa, szwaczka z profesyi. Mówczyni ta, jeśli nie prześcignęła innych wymową, to przynajmniej odznaczyła się najprostszym wyłuszczeniem sprawy. Ale niestety, tak z jej mowy, jak i z innych głosów, niepodobna wyprowadzić nic praktycznego, we względzie polepszenia stanu kobiet poświęconych przemysłowej robocie, polepszenia zawistego od powiększenia płacy dzienniej. Obywatelka Ruoul'owa opierała całe swe rozumowanie na tém szczególnie, że pleć brzydka tworzy kobietom straszliwą konkurencyą, zajmując miejsce i biorąc się do rzeczy właściwych jedynie kobietom... Jest-to zapewne i prawdziwe, i sprawiedliwe;—ale gdzie sposób zapobieżenia temu? Drugim argumentem, wspólnym jej i innym mówcom, było wystąpienie przeciw robotom wykonywanym za tanie pieniądze po klasztorach żeńskich, a ztąd, przelajem, napadanie na stan duchowny w ogólności. Zostawiając na stronie ten oddźwięk pozytywistyczny, któż może wzbronić pracy biednym tym kobietom, które prowadzone wyższém wogóle uczuciem, umierają dla świata? kto może im wzbronić tą pracą zarabiać na utrzymanie? Czyż lepiej i godniej będzie zostawić im drogę jałmużny? Zresztą jest-to kropła w morzu. Cała Francya pracuje na Paryż, a kobiety po wsiach zimą, kiedy roboty na polu ustają, za 50 centymów gotowe są poświęcić dzień cały roboty, jest-to bowiem dla nich spożytkowanie swobodnego czasu i choć słaby, ale gotowy zysk, ulepszający ich byt materyalny. Zresztą, konkurencyja ta, jest-to kwestya czysto paryzka, nie można jej zatem podnosić do wysokości kwestyi socyalnej tam, gdzie kobieta wchodzi w skład rodziny i zostaje pod opieką rodziców, męża, lub krewnych. Wyjątki w tym względzie nie stanowią reguły, bo najczęściej te wyjątki są skutkiem opuszczenia prostej i uczciwej drogi. W takim stanie rzeczy zarobek kobiety, jakkolwiek słaby, powiększa ogólną masę zamożności i w stanie normalnym dobrze rządzącej się rodziny staje się wielką pomocą. Ztąd nierówność zapłaty, bo nierówność trudu i nierówność położenia.

Na trzecim posiedzeniu kongresu roztrząsano kwestyą *izb syndykalnych*. Nowa ta instytucya, jest-to zwrot, jak mówiłem wyżej, do dawniejszej ustawy cechów; są-to osoby wybierane przez rzemieślników każdego rzemiosła, którym poruczają w pewnej mierze dyrekcyą moralną, że tak powiem, spraw i interesów danego rzemiosła. Pod

(*) Chociaż na kwestyą rzemieślniczą zapytujemy się nieco odmiennie, szanując jednak zdanie naszego korespondenta, jako człowieka zajmującego bardzo poważne stanowisko społeczne i naukowe, zostawiamy poglądy jego bez zmiany. (Przypisek redakcyi.)

ich to spaczonym kierunkiem wywiązały się koalicye, bezrobocia, a nawet i polityczne konszachty, które zrodziły niejedno zaburzenie na bruku paryzkim i lugduńskim. Dążnością ich miało być oswobodzenie rzemieślnika z pod wpływu przedsiębiorców, mających jedynie w swych rękach rzecz podłą i nędzną... kapitał. Za ich to sprawą miały się utworzyć stowarzyszenia pracy, produkcyi bezpośrednia i pośrednia również sprzedaż wyrobu—jednym słowem, miała się dokonać ta reforma, zapomożą której rzemieślnik zostać może panem siebie, swęj pracy, swego czasu i swego wyrobu. Został on też wprowadzić panem swego czasu, ale nato, aby go sterać marnie najczęściej i wrócić następnie do dawnęj drogi, lecz wrócić z niechęcią, z rozżaleniem, z nienawiścią ku tym właśnie, którzy mu podawali rękę do wyjścia z biędy.

Posiedzenie to było trochę namiętniejsze od poprzedzającego. Skargi podniosły się gwarnie na kapitał, na towarzystwa, na przedsiębiorców; ale wniosków praktycznych było mniej jeszcze, niż w poprzednięj kwestyi. Potrzeba reformy tych izb okazała się niezbędną, bo ledwo kilka z nich odpowiedziało swemu powołaniu.

Przymieszało się tu nawet trochę polityki; bo w izbie deputowanych rozbięrać mają właśnie projekt prawa nowego, tyczący się tych izb syndykalnych rzemieślniczych. Wszyscy prawie mówcy zgodzili się na jedno: że deputowani nie rozumieją wcale tęj kwestyi i że potrzeba wybierać odtąd na posłów samych tylko rzemieślników.

Jeden z mówców, który zbijając te wszystkie mrzonki i do niczego nie prowadzące projekta, chciał przytoczyć przykład, w jaki sposób, kilka lat temu, izba syndykalna jubilerska rozwiązała jedną z najważniejszych kwestyj—miał sobie odebrany głos i musiał opuścić mównicę.

Dopełnijmy tego, co mu wzbroniono wytłumaczyć publicznie. Za wspólną zgodą wszystkich jubilerów paryzkich, postanowiono kilka lat temu uczynić propozycją następną: Fabrykanci-jubilerowie obowiązują się corocznie dorzucić do summy stanowiącęj normę zarobku każdego rzemieślnika 10 od sta, który to dodatek, odkładany do wspólnej kasy i pomnażany corocznie, ma być użyty na utworzenie pensyi dożywotnięj każdego rzemieślnika, w chwili gdy dojdzie lat 60. Podług zrobionego rachunku, miało to wynieść 600 lub 800 franków na każdą głowę.

Rzemieślnik, według tego projektu, mocen był zmienić dowolnie swego fabrykanta, byle tylko pozostał w rzemiośle, i nie dawał ani złamanego szeląga z własnięj kieszeni. Fabrykanci wymagali jedynie zobowiązania, że codziennie, oprócz niedzieli, 8 godzin czasu poświęci robocie w ich pracowniach. Propozycją tę nie tylko izba syndykalna odrzuciła, ale nadto w odpowiedzi swojęj wyraziła taką pogardę, iż to na przyszłość uniemożliwić musiało wszelki powrót do wspólnego porozumienia się w tęg mierze. Z tego sędzić można o reszcie i zrozumieć, jaki duch ożywia owe izby.

Czwarte posiedzenie zajmowało się poprawą pewnego rodzaju trybunału, ustanowionego jedynie w celu pogodzenia kompromitarskim sądem spraw i nie porozumień pomiędzy rzemieślnikiem i przedsiębiorcą, a szczególnięj pomiędzy samymi rzemieślnikami. Ten rodzaj sądu zowie się tu *radę Prudho mmistów* (conseil Prudhommes). Założeniem wszystkich ich mówców było rozciągnięciem tęg specjalnięj, wyłączenięj jurysdykcyi do wszystkich stosunków, jak ie rzemieślnik może mieć ze światem, a nawet i do spraw takich, które z rzemiosłami mają tylko uboczny i daleki bardzo stosunek, jak na przykład do towarzystw kolei żelaznych. Jednym słowem, żądaniem delegowanych jest, aby postawić radę Prudhommistów rzemieślniczych na miejsce sądziów pokoju, z rozszerzeniem przytęm atrybucyj tych ostatnięch.

Pięte posiedzenie zagajono wśród wielkiego hałasu, którego narobiła denuncyacya kilkudziesięciu członków przeciw wprowadzeniu do grona delegacyi osób niebędących wcale rzemieślnikami, to jest pracownikami robót ręcznych. Po sprawnieniu okazało się, że jeden z oskarżonych był

rzeczywiście intruzem, więc wyproszone go za drzwi; drugi zaś usprawiedliwił się i pozostał na miejscu. Po uciszeniu się zgromadzenia, przystąpiono do rozważania kwestyi czeladnictwa i szkółek rzemieślniczych. Niewielu było mówców, a z nich głównięjsi dowodzili konieczności szerzenia oświaty wśród klasy rzemieślników, z tęg jednak zastrzeżeniem, że dla nich oddzielne utworzone zostaną szkółki. Powstają głosy: „z jakich pieniędzy?“ Ze składek, odpowiada mówca.—Nie potrzeba! (faut pas!)—A więc szkółki początkowe dzisiejsze obrócić na ten cel, dodając do nich naukę profesjonalną, obowiązującą dla wszystkich. Tu następują pioruny i grzmoty na mieszczaństwo, a jeden z mówców, nauczyciel ze szkółki początkowęj, przywodzi ten ustę z J. J. Rousseau, że „mieszczanin ciągnący kwartalny swój dochód z kapitału (rentier), tyleż jest wart, co zbój, zatrzymujący dyliżans na publicznej drodze.“ Cytacya ta okryta zostaje hucznymi oklaskami całego zgromadzenia.

Konieczność reprezentacyi proletaryatu w parlamencie jest założeniem, które usiłują rozwiązać liczni bardzo mówcy szóstego posiedzenia kongresu. Naturalnie że dzisiejsi deputowani paryscy zmieszani zostają z błotem. Wśród tych wybryków języka, wiele jednak zdarzało się rzeczy praktycznych i prawdziwych. Niezawodną jest rzeczą, że posyłani dotąd do izby a twokaci, albo niedouczeni medycy i podobni deputowani *ejusdem farinae*, niewiele pomogli krajowi i klasie rzemieślniczej. Ale pocóż ich było posyłać? Ztąd niepraktyczna konkluzya wszystkich mówców, iż odtąd wybrany przez rzemieślników deputowany, sprawujący jakibądź urząd, obowiązany zostanie podpisać najprzód blankiet na dymisyą swoję, który zostanie w rękach wyborców. Na takięj to uchwale zamknęło się szóste posiedzenie.

W niedzielę 8 października dwa się odbyły posiedzenia kongresu, siódme i ósme, o 1-ęj z południa i o 8-ęj wieczorem. Na obudwu rozbięrano, nie bez krzyków i protestacyj, drażliwą kwestyą *Towarzystw wspólnej pracy*, (Sociétés coopératives). Głosy się podniosły za i przeciw; malarze, (peintres en batiments) i szewcy nie wierzą ani w przyszłość, ani w uczciwość tych zakładów; przeciwnie znany już nam mówca ślusarz Nicaise broni ich do upadłego i dowodzi, że w dzisiejszym urzędzeniu społeczności i w dzisiejszym stanie rzeczy, jedyne zbawienie rzemieślników leży w tych stowarzyszeniach wolnych i w tęg spólnej pracy. Jak zwykle, rzeczywisty punkt oparcia znajduje się w pośrodku tych dwóch sprzeczności. Stowarzyszenia te są dobre, lecz aby zbawienny przyniosły skutek, na to potrzeba czasu; a tuby się chciało poprawy natychmiastowęj, jak w znanęj konkluzyi naszego cygana, który sprowadził rolnictwo do tych trzech głównych, podług niego łatwych bardzo operacyj: „Orz—miel—i jędz“... Niestety, po cygańsku tęg tylko można w ten sposób życie i pracę prowadzić...

Dziwięte posiedzenie kongresu dotknęło dwóch niemięj ważnych zagadnień, jak te któremi zapełnione zostały posiedzenia poprzednie: brak roboty (chômage) i kass dożywotnich pensyj (caisses de retraite). Obie te kwestye wiążą się ściśle z rozbięranami poprzednio; nie więc tu nowego nie można było wymyślić nad to, co się powiedziało już piérwęj. Zakładanie kas pomocy powszechnęj, nie tylko we Francyi, ale na całej kuli ziemskięj; wspólna odpowiedzialność pracowników wszystkich krajów; składki dobrowolne, a nakoniec wezwanie rządu do pomocy—oto są konkluzye, do których przyszli, jeden po drugim, oratorowie zgromadzenia.

Nakoniec 10 października, po wyprowadzeniu na scenę, również niepraktycznię i również stanowczo, kwestyi o robotnikach rolniczych, kongres zamknął swe posiedzenia odczytaniem propozycyj i konkluzyj, wyciągniętych z tych długich i żwawych rozpraw, które dotknęły kolejno najżywotnięjszych bez zaprzeczenia zagadnień dzisiejszęj społeczności rzemieślniczej, nie tylko we Francyi, ale i w innych krajach.

Niepodobna mi wyliczać tu każdęj z tych propozycyj odrębnie i szczególowo. Są one zresztą

powtórzeniem tylko rozbięraných przedmiotów; a na czele każdęj z nich można wypisać: *Pia desideria*. Jedna tylko była praktyczną i skutecznię się dała, to jest zebranie się na bankiet, po trzy franki od osoby. To wcale niedrogo, a uczciwie i wesoło.

Jakąż ztąd można wyciągnąć naukę? do czego prowadzą tego rodzaju zgromadzenia i rozprawy? Oto do tego, aby więcęj jeszcze zamąć głowy i wykazać, że każdy chciałby na tym świecie nie zarobić, ale dostać pieniędzy bez trudu, bez pracy i bez potu czoła. Zagadnienie to stare jak świat, rozwiązanie zaś jego, co do klasy rzemieślniczej we Francyi, a szczególnięj w Paryżu, rozbięrało się dotąd i wiecznie rozbięrać musi o szkopolu głównym... szynk (marchand de vin). Bo dowiedziona jest rzeczą, że każdy *ouvrier* paryzki w przecięciu przynajmniej 500 franków corok zostawia bez żadnięj potrzeby w karczmie; gdyby więc te 500 fr. oddał do kasy oszczędności, po dwudziestu latach pracy znalazłby się wobec zebranęj summy, któraby mu dozwoliła spokojnie i uczciwie doczekać się śmierci, u siebie, wśród swoich, nie zaś szukać jęj w szpitalu, albo, co gorzjęj... w więzieniu.

Listy z wystawy filadelfijskięj,

Sygurda Wiśniowskiego.

Wystawa krajowa.

(Dalszy ciąg).

W pawilonie skórzanym, szukając wystawy p.p. Temlera i Szwede oraz Bauerfeinda, odkryłem wystawę wielkiego księstwa poznańskiego, złożoną z jednego okazu, w postaci szafeczki z trzema parami butów, przysłanęj przez p. Skóraczewskiego. Nieodrodny ten członek bractwa szewckiego zrehabilitował reputacyą swego gniazda w męj opinii, napisawszy na swęj szafie calowemi literami:

Skóraczewski

szewc z Poznania,

co panom Niemcom może do smaku nie przypadło. Zato pewien wystawca cukrów, gardząc rossyjskim, angielskim i polskim językiem, napisał na swych okazach: *Meisner von Warschau, Zuckerfabrik*, za co mu osobny medal Niemcy dać powinni. Ogólnie w kwestyi napisów ledwie kilka osób okazało tyle taktu i rozsądku, co szewc z Poznania. Przysłał on dwie pary butów, sięgających powyżęj kolan i uzbrojonych w ostrogi niby średniowieczne. Nad niemi postawił trzecią, z czerwonego safianu, haftowaną srebreniemi godlami. Cała ta wystawa jest dowodem biegłości w swym zawodzie, i rozumu pana Skóraczewskiego.

Okazy skór p.p. Temlera i Szwedego, oraz p. Bauerfeinda celują nie tylko w swojęj sekcyi, lecz w całym pawilonie. Najlepszym dowodem uznania, jakie piérwszy dom uzyskał w Ameryce, jest taki odbył jego towarów, że utrzymuje tam stałego agenta, p. Huntingtona. Skóry jego wiszą na ścianie południowęj, w rossyjskięj sekcyi. Jednę z nich, rodzaj lekkiego juchtu (którego Amerykanie nawet naśladować nie umieją), ze słonina chyba zdjęto, boć wołu rozmiarom jęj odpowiednięj nigdy nie widziałem. Pokrywa ona prawie dwa razy tyle miejsca, co dwie zwykłe skóry.

Pan Bauerfeind ma także skóry wiszące na ścianach. Oprócz okazów w sporęj szafie, pokazuje on rzemienie do maszyn i lakierowane skóry i safiany, których dotknąć i osądzić nie można. Obydwaj ci panowie wymienili, z godną naśladowania starannością, ceny swych wyrobów, na kartkach przyczepionych do okazów. Amerykanie podziwiali tanioscę skór tych. I tak za pas wspomniany żądano rsr. 16, za ogromną skórę, o której wspomniałem, rsr. 46 kop. 80.

Zanim opuścę pawilon skór, zapytam jeszcze, dlaczego szewcy warszawscy, słynni z doskonałęj roboty, nie obesłali wystawy? Brak taki odwagi i przedsiębiorczości nie odpowiada ich długoletnięj reputacyi.

Niedługa wędrowka zawiedzie nas z pawilonu skórowego do pałacu maszyn, gdzie niewiele warszawskich znajdziemy okazów w trzech oddziałach, na takie podzielono sekcją rossyjską. Wystawa cesarstwa w tym pałacu prezentowałaby się świetnie, gdyby jej tak nie rozrzucono po całym gmachu. Mianowicie wystawa szkoły technicznej w Petersburgu zwróciła uwagę technikow zamorskich. Objasnia ona cały sposób kształcenia młodzieży na mechaników, praktykowany w tej szkole, łączący fizyczną pracę oraz używanie narzędzi rzemieślniczych, z nabywaniem teoretycznych wiadomości. Szkołę podobną już urządzają w Massachusetts, a zamierzają ją naśladować i w innych Stanach. Tak to prędko chwytają Amerykanie każdą myśl dobrą i naśladowują każdą rzecz praktyczną.

W pałacu maszyn nie znalazłem sikawki Troetzera. Chyba ją ziemia pochłonęła, bo żaden z rossyjskich posługaczyw pokazać mi jej nie umiał. Ładna szafa, pod godłem:

Handtke, Warszawa,

zawiera starannie i zrozumiale etykietowany zbiór łańcuszków i łańcuchów, gwoździ i gwoździków okrągłych, czwórkańcuzastych, od ćwierć cala do półstopy długich, napierśników, drutów, i t. p. Stoi ona pod ścianą, wystawioną ze wspaniałych blach żelaznych Demidowa. Gdyby wszyscy, jak pan Handtke, etykietowali swe towary, mógłbym był się nauczyć terminologii polskiej w każdej gałęzi rękodzielnictwa.

Tuż obok szafy tej widziałem kuchenki pana Bełcikiewicza (Bothe i spółka), gustownie postawione na sztalazach błękitnych. Kolor mosiądzu używanego w tych wyrobach zastanowił mnie, przypominając tulskie samowary. Za granicą barwy tej naśladować nie umieją. Szkoda że pp. Bothe i spółka nie kazali rozdawać broszur angielskich, polecających ich wyrób Amerykanom, nieznającym dotąd kuchen naftowych. Zgrabność i szczupłość tych kuchenek pozwoliłaby je umieszczać w pokojach mieszkalnych. Główna zaś ich zaleta, polegająca na oszczędzaniu kosztów utrzymania kucharki i używaniu nafty, tak taniej w Ameryce, byłaby pożądaną nowością dla pań zamorskich, wiecznie trapijonych brudnymi sługami niemieckimi i irlandzkimi i kłótniami z handlarzami węgla. Zkąd jednakże mogą się one dowiedzieć, że gotowanie naftą kosztuje taniej niż węglem? Nieme kuchenki nie powiedzą im przecie, że w nich się naftą pali.

Kilka drobniejszych rzeczy, jak samowar, nosze do dźwigania rannych (pp. Lilpop i Rau) i figurki do szachów brązowe uzupełniają warszawski zbiór w tej sekcji. Otóż co do tych figurek zachodzi pytanie, ile z nich do Warszawy należy.

W szafie zawierającej je są podobno trzy komplety figurek szachowych, rozmaitej wielkości. Tak zaś je zmieszano gruntownie, że chyba tylko sami fabrykanci mogliby rozpoznać własne swe dzieci wśród brązowego tłumu. Jakiś humorysta uszykował je, stawiając papieża przeciw Wiktorowi Emanuelowi i t. p.

Łatwiejby było przebyć pół mili angielskiej, dzieląc pałac maszyn od pawilonu sztuk pięknych, niż przeskoczyć naraz od kuchenek do sądzenia obrazów i posągów. Są reporterzy, istne salamandry, umiejący się zastosować zarówno do wody, jak do ognia, i zdolni do takiego *salto mortale*. Zauważyłem nawet, że większość mych kolegów po piórze, mianowicie galicyjskich, choruje na znawców i krytyków sztuk pięknych. Lwowscy dziennikarze bez wyjątku poczuwają się do prawa sądzenia okazów artystycznych, czego miałem dowody na wystawie wiedeńskiej.

Chociaż u stóp tych Solonów czerpałem pierwsze literackie doświadczenie, nie ośmielam się dołączać do mego sprawozdania z wystawy sądu o obrazach zawieszonych w sali rossyjskiej, tém bardziej, że każde mylne o nich zdanie byłoby wysmiane w Warszawie. Wszak znacznieszą część tych obrazów znać, bo je malowali i przysłali ludzie „kość z kości waszej“, a pisma polskie ilustrowane dawno zapewne je wam w kopiach przedstawiły.

Stwierdżę więc tylko fakt, że Warszawa okryła sporą część ścian obszerniej sali, nie szczędząc obrazy z całego cesarstwa, oraz marmury Cenglera i Rygiera. Otwarto ją dopiero w sierpniu, a publiczność opuszczała ją zwykle z pochwałami na ustach. Niektóre obrazy, wiszące na ścianie północnej, ledwie dojrzyć było można, dla braku oświetlenia w północno-zachodnim kącie sali.

Krytycy tego zbioru chwalili kompozycją i rysunek, ganiąc cokolwiek brudny koloryt obrazu Skirmuntta, przedstawiającego wejście zamaskowanego członka weneckiej rady dziesięciu do sali, w której biesiaduje rodzinne kółko, ku groźbie uczujących i przeleknieniu diatwy. Zauważyłem także, iż znaną mi z pism ilustrowanych „La mora“ (Gierymskiego) i akwarellę Kostrzewskiego „Dobry Przyjaciel“, przedstawiającą pochód do szynkowni, pochwalono w obszerniej krytyce rossyjskiej wystawy, umieszczonej w poważnym *Times* nowojorskim. Podobne pochwały czytałem i w innem piśmie dla Gierymskiego „Osteryi włoskiej“, obrazu pełnego typów prawdziwie południowych i oświetlonego w sposób dziwny światłem odbitem od białej ściany za uliczką, wpadającą przez drzwi otwarte na grupę żołnierzy. Grozińskiego „Trójkę rumaków rossyjskich“, znaną mi z Wiednia, także chwalono w gazetach amerykańskich. Ogólnie podobały się wszystkie rodzajowe obrazy w tej sali umieszczone, z krajobrazów zaś chwalono „Polowanie w zimie“, Kostrzewskiego. Zganiono zato w krytyce *Timesa*, najstaranniej umotywowanej ze wszystkich jakie czytałem, obrazy morskie Ajwazowskiego, który przysłał z Petersburga aż siedem okazów, dowodzących że chcąc morskie malować obrazy, trzeba znać morze i rozumieć jego przyrodę. „Łazienkę rzymską“, obraz Bronikowa z Rzymu, pełen nagich kobiet w pozach rozmaitych, nazwał *Times* najbezwstydniejszym okazem w pałacu sztuk pięknych — honor nielada, gdyż zdobyty w konkurencyi z niektórymi francuzkami malarzami.

(*Dalszy ciąg nastąpi.*)

SZEWCKIE DZIECKO,

POWIEŚĆ

przez

Teodora Tomasza Jeża.

(*Dalszy ciąg.*)

„Płyną lata, z latami zdarzenia.“

Krzyżyk oznacza lat dziesięć. Moglibyśmy rozdział ten krzyżykiem zaznaczyć, gdyby do dziesięć lat nie brakowało niewiele, lat trzech tylko — lat trzech, które w porównaniu z wiecznością niczem są, w odniesieniu atoli do osób, występujących w powieści naszej, znaczą ogromnie wiele. Cóż-bo to za osoby występowały dotychczas! Aż mi wstyd. Dzieci same!... Dlatego też lat kilka zaprowadziło w osobach tych zmiany wielkie.

Naprzykład: ta postać niewieścia, co z książką w ręku na otomance siedzi — co to za jedna? Sunknia biała kibić jej osłania, nie okrywając gorsu, rozwiniętego w sposób, każący się domyślać kształtów postaci godnych dłuta Praksytelesa. Postać posągowa! Upozowała się nawpół leżąc, oparłszy nogę na stołeczku. Co za nóżka! Warkocze odbijają polysk złotawy, ujmujące niby w ramy czoło gładkie, pod którym brwi wygięły się w dwa łuki regularne, i oblicze jasne, na które rzęsy cieni długie rzucają. Nosek kształtny, nozdrza przezrocyste, uszka małe i ustka koralowe wydają się dziełem arcymistrza jakiegoś, który je przystosował w sposób taki, ażeby z owalem twarzy, z wytkiem szyi i z wyrazem oczów ciemnoszafirowych tworzyły piękność skończoną, doskonałą, uroków i powabów jawnych i tajemnych pełną.

Oczy błędzą po książce. Czyta. Co czyta? Gdybym wymienił tytuł książki, wywołałbym — tego niemal pewny jestem — okrzyk, nabrzmiały zdziwieniem i oburzeniem. Powiem więc tylko, że nie był to anirzomans, ani poemat, ani dramat,

ani żadne z dzieł, których czytanie kobiecie toleruje opinia — ta opinia, co to, uważając kobietę za bawidelko, chciałaby ażeby bawieniu się poświęcała, pomijając wszystko poważne. Książka była poważną rzeczywiście i treść onę zajmowała czytelnice żywo. Nie zajmowała jej jednak jak romans: nie pożerała stronic oczami, nie chłonęła ich duszą rozgorączkowaną — czytała uważnie i kiedy niekiedy odrywała od książki oczy, przenosząc je na okno otwarte, przez które widziała drzew rosochatych kilka, szpaler strzyżony, trawnik niewielki, parę kłębów kwiatnych i sadzawkę z tryskającą fontanną, a dalej mur wysoki, otaczający pejzażyk udatny miejskiego ogródka. Kilka ptaszków świergotało w gałęziach. Na krawędzi sadzawki skakało wróbli parę. Z kwiatu na kwiat przesiadał się motyl i barwiste podnosił skrzydełka, jakby chlubiąc się niemi. Czytelniczka przenosiła wzrok z drzew na sadzawkę, z kwiatów na mur, z trawnika na motyla, bezwiednie jednak, dlatego tylko że przedmioty te przedstawiały się same: w oczach jej malowało się myślenie, którego wątek snuła z książki. Po chwili myślenia takiego, zwracała oczy na stronicę otwartą, śledziła ją i przerywała kartki nożykiem z kości słoniowej.

Przez okno dostawała się do pokoju woń róż rozkwitłych, rezedy i goździków i dochodził oddalony gwar hałasu miejskiego.

Pokój wyglądał na jeden z owych saloników ustronnych, budowanych w domach zamożnych, w których pięć piękna znajduje kącik spokojny, przydatny do dumań i rojeń. Zdobił go kominek marmurowy, obrazów kilka, firanki z frenzlami, parę posążków i meble, rozstawione na kobiercu miękkim, który podłogę zakrywał całkowicie. W kącie stały niedochodzące wysokości trzech ćwierci wzrostu człowieczego kolumny marmurowe; na nich wznosiły się urny misternie rzeźbione. Stolik owalny, pokrowcem w desień okryty, służył za skład ksiąg i albumów w bogatych oprawach. Na kominku, pomiędzy dwoma kandelabrami brązowymi, stał zegar, służący za piedestał dla grupy z brązu odlanej, wyobrażającej zapasy dzika z psami.

Czytelniczka na zegar ten oczy często zwracała. Wzrok jej padał nie na grupę, lecz na skazówki, śledząc ruch ich powolny. Niedosć na tém. Ile razy była godzina lub ćwierć godziny, tyle razy ona uwagę od książki odrywała i pilnie słuchała, aż wybiła godzina czwarta. Czytelniczka książkę złożyła, poprawiła się na siedzeniu, chrząknęła i poczęła nożem z kości słoniowej machać z góry nadół, jakby znaczyła takt. Trwało to chwilę. Wymachiwanie nożem miało taki akcent, jakby służyło do zapełnienia próżni w zajęciu, którego nagle zabrakło. Przestała czytać, więc bawiła się czembądz, ażeby rąk nie opuszczać bezwładnie. Zabawa ta postępo wała *crescendo*, wymachiwania nożem stawały się coraz to szybsze; popędzało je coś wewnętrznego, zdaje się niecierpliwosc. I w rzeczy samej, niecierpliwosc to była. Czytelniczka nóż z ręką na kolana nagle spuściła, rzuciła okiem na zegar, zwróciła wzrok na drzwi i westchnęła:

— Nie przychodzi...

Oczy jej miały wyraz zniechęcenia.

Nagle jednak zajaśniały. Na policzki wybił rumieniec, przycisnęła dłonią pierś, odetchnęła głęboko i uśmiechem na poly modlitewnym powitała przekraczającego w tej chwili próg młodzieńca.

— Dzień dobry pani.

— Dzień dobry — była odpowiedź młodej kobiety.

Wymówienie wyrazu przywróciło jej swobodę w zachowaniu się. Podniosła nóż kościany i akcentując nim sylaby, mówiła dalej:

— Przecie miałabym prawo gniewać się na pana.

— Na mnie?... za co?...

— Za to, żeś mi kazał na siebie czekać tak długo.

Młodzieniec okiem na zegar rzucił.

— Minut dziesięć — rzekł — to długo?

Młoda kobieta strzeliła takim oczu wyrazem,

jakby się zmieszala i zarazem o politowanie błagała. Młodzieniec ciągnął dalej, tonem spokojnym, jakby się tłumaczył:

— Czyż ja kazałem? Czyż mi przysługuje rozkazywania prawo?

— Rozkaz był zobowiązujący, pańskie przyrzeczenie, moje zezwolenie.

— Powiedziałem tylko: o czwartej.

— I ja powiedziałam to samo. Zobowiązaliśmy się oboje, a kto na siebie zobowiązanie bierze....

— Masz pani rację — podchwycił młodzieniec. — Masz pani rację zawsze.

— Paniel... — zawołała młoda kobieta, jakby przestraszona wyrazem ostatnim.

Młodzieniec wzdrzął się. Zdawało się, że przestraszony z niej przeszedł na niego i sprawił mu nerwów wstrząśnienie. Wnet jednak do normalnego powrócił stanu, usiadł przy stole i dłoń na jednym z albumów położył.

Skorzystamy z chwili milczenia, jakie zapanowało, i opiszemy postać przybysza. Zewnętrzność jego; na pierwszy rzut oka, nie odznaczała się niczym szczególnym. Płowe włosy, błękitne oczy, wzrost mierny, kibić szykowna, oblicze ujęte w ramy tego wyrazu, jaki nadaje przeżycie ćwierci wieku, wywołujące na twarzy męskiej zarost świeżością nacechowany, oto rysopis wierny młodego człowieka. Lecz w wyrazie tym był jeszcze wyraz, ten zaś ostatni szedł z duszy i opróżniał niejako postać z wyuczajną, nadając jej osobliwe jakieś uwydatnienie. Z czoła, z oczu, z całego oblicza odbijała myśl, odzwierciedlając rozum. Wydawało się to poetycznością i było nią w rzeczy samej, ale w sensie piękna naturalnego, przenikniętego nawskróś dobrem. Piękno i dobro razem wzięte stanowią poetyczność najszczytniejszą; ta atoli obyć się nie może bez rozumu, który wobec nich odgrywa rolę dyrektora orkiestry, baczącego na to, ażeby w objawach ich panowała harmonia jaknajdoskonalsza. Owóż z oblicza młodzieńca przeglądała harmonia owa, prowadząca w równą mierze piękno i dobro, owiane urokiem młodości, który ją zabarwiał odbłyskiem podobnym do odbłysku, jaki słońce rzuca na kryształ. Odbłysk ten igrał mu w oczach, każąc podejrzewać w duszy zdolność do zapału.

Młodzieniec usiadł przy stole, wstrząsnął głową i włosy odgarnął.

Młoda kobieta wpatrzyła się w niego.

On na nią wzrok zwrócił, ona oczy spuściła. Oczy spuściła i zapytała:

— I cóż?..

Młodzieniec westchnął.

— Pan dziś... jakoś... niewesoły — rzekła głosem, w którym ukrywał się zamiar wnikania w jego tajemnice.

— Niewesoły? — odrzekł młody człowiek z uśmiechem. — Ja się niewesołym nie uznaję...

— Ale się pan nim uczuwa...

— Hm... Chyba się to bez mojej dzieje woli — odparł, poprawiając się na krześle. — Nie, do niewesela powodu rzeczywistego nie mam...

— A do wesela? — zagadnęła młoda kobieta.

— Do wesela?.. — spuścił głowę, przybierając minę taką, jakby się nad odpowiedzią namyslał. — Do wesela... Al.. Zostawmy tę kwestyę, która...

— Która?.. — podchwyciła kobieta z naciskiem.

— Zdziwiałam mnie w ustach pani... Czy nie mamy innego do rozmowy przedmiotu?.. Mówiliśmy o...

— Mieliśmy dalej ciągnąć treść przerwanej rozmowy i miałam zadać panu zapytań mnóstwo, ale...

Wyraz ostatni wymówiony był przeciągle, niby wspięwany.

Młodzieniec spojrział w oczy młodej kobiecie, a czoło jego powlekło się lekką chmurą.

— Ale — powtórzyła i zmieniając nagle ton, dodała rezolutnie: — Panie Kaźmirzu, chciałabym pana prosić o... jedną łaskę...

— Pani! — odparł młodzieniec zdziwiony i jakby zmieszany.

— Nie masz siostry... uważaj mnie za siostrę... za siostrę po duchu i bądź ze mną otwartym...

Postrzegam od czasu pewnego, że panu coś dolega... co?... tego mi nie powiadaj... Powiedz tylko, że dolega... Ja kobieta, kobiety posiadają dar kojenia dolegliwości. Możeby się panu przydała na co.

Nasz Kaźmirz — on to był bowiem — musiał gwałt sobie zadać, ażeby się powściągnąć od czynnego jakiegos okazania wdzięczności swojej tej, której słowa rozplywały się w dźwiękach cudnie melodyjnych. Wyrazy zwyczajne do głębi przenikały, niby nuty muzyczne, i sprawiały drżenie, podobne do tego, jakie śpiew doskonały sprawia. Ale bo też w wyrazach tych czuć się dawało drżenie, idące z serca. Nie była to jednak bojaźń. Cóż więc to było?...

— Pani Kaźmirzu — mówiła dalej — ja pana... ja panu sprzyjam bardzo...

— Pani! — odrzekł Kaźmirz rozrzuwiony i niewiedzący co odpowiedzieć.

— Przyjmujesz pan sprzyjanie moje?.. przyjaźń moją?..

Wyrazy: sprzyjanie, przyjaźń znajdowały się w jej ustach, jakby nie na swoim miejscu; wymawiała je w sposób dziwny jakiś, niby zmuszona.

— O!.. — zawołał młodzieniec. — Możnaż nie przyjąć!.. Przyjmuję, ale...

Zaciął się.

— Ale?.. — zapytała tonem, który półdziwienie i półżal wyrażał.

— Przyjmuję, ale nie dlatego, panno Heleno, że pani piękna i bogata...

— Duma! pycha! W przekonaniu pańskim niewolno mi być bogatą i piękną... Cóż ja temu winna?..

— Ja pani winy nie przypisuję żadnej... Zastrzegam się tylko...

— Przeciwno czemu?..

— Przeciwno... przeciwko — bąkał Kaźmirz — przeciwko ułomności, słabości własnej... Bez zastrzeżenia tego, widzi pani, mógłbym... zatoczył się na drodze pochodu mego...

Panna Helena — Helcia owa, z którą czytelnik ma już znajomość niejaka — wpatrzyła się w niego okiem pełnym wyrazu pytającego. Kaźmirz bąkał, szukając wyrazów odpowiednich.

— Mógłbym... postradać szacunek dla samego siebie... Pani wie, że jest to rzecz ważna... szacunek dla samego siebie. Szacunek ten nie wypływa ani z dumy, ani z pychy...

Panna zrobiła gest, oznaczający że chce mówić, Kaźmirz zamilkł i zapanowało milczenie chwilowe, które panna Helena przerwała, wyciągając do młodego człowieka rączkę:

— Pan jednak, panie Kaźmirzu, przyjaźń moją przyjmujesz...

Kaźmirz uściśnął podaną sobie dłoń i odparł:

— Z serca całego.

W głosie jego czuć się dawało usiłowanie utrzymania spokoju.

— Tego mi tylko potrzeba — były słowa panny Heleny. — Teraz więc, powiedz mi pan, co panu dolega?..

— Nic...

— Al.. — krzyknęła panna Helena.

Ramionami lekko ruszyła, głowę spuściła, westchnęła i rzekła:

— Niema co... Pan Kaźmirz nie uważa mnie za godną jego przyjaźni...

— Panno Heleno! — zawołał młodzieniec tonem wymówki.

— Widzę... czuję... a on mi w oczy ciska: nie! Nieprawda! — rzekła z mocą.

— Nie mi nie dolega, to znaczy, nie takiego, coby zasługiwało na powiedzenie pani... To co mógłbym jako dolegliwość podać, tyczy się osobistości mojej tak wyłącznie... tak wyłącznie... że poprostu wstydby mi było wyznać to przed kimkolwiek. Jest to moja tajemnica wewnętrzna, jest to słabość, z którąbym się popisywać nierad dlatego, że lekarstwa, że środki zaradcze na takąową nie znajdują się i znajdować nie mogą na zewnątrz mnie, ale we mnie... Jeżeli nie zaradzę sam, to nikt nie zaradzi owęj dolegliwości mojej... owęj dolegliwości, która — dodał z namysłem — jest może nie czem innym, tylko złu-

dzeniem optycznym oka wewnątrz zwróconego...

— Z powodu której jednak cierpisz pan, panie Kaźmirzu...

— Cierpię? nie wiem...

— Ale ja wiem... widzę... czuję...

— Ulegasz pani może złudzeniu temu samemu co ja, w tym tylko odmiennemu, że złudzenie pani jest podmiotowe, moje zaś przedmiotowe... czyli, że mimowolnie i mimowiednie, występuję wobec pani jako kuglarz...

— Panie Kaźmirzu! — podchwyciła panna. — Nie mów pan tak... Kuglarstwo wszelkie nie może być innym, jak własnowolnym i samodzielnie...

Młodzieniec spuścił głowę, zamilkł i dłońią się po czole pogładził, jakby rozglądzić chciał zmarzszki przedczesne, które się na takowym zaznaczyły.

— Miałam z panem tyle do mówienia!.. — zaczęła panna, po chwili milczenia. — Tyle zapytań kręciło mi się w myśli!

— Niech pani pyta...

— Ani jednego ułoić nie mogę... Wszystkie pierzchy...

Zwróciła oczy w okno i mówiła dalej:

— Radabym pana rozmową bawić, a nie mogę...

— Więc ja pomogę — odezwał się młodzieniec tonem półartu. — Trzymasz pani w ręku książkę, co to za książka? ona nam wątku do rozmowy dostarczy.

— Dostarczy, ale nie dziś, nie w tej chwili... W tej chwili czuję w sobie dziwne rozdrażnienie jakieś, przeszkadzające mi skupić myśli, porządkować wyrazy... Czuję w sobie pociąg do łamania, do psucia, do stawiania z kart gmachów i dmuchania na takowe.

Kaźmirz popatrzył na nią przez chwilę. W oczach jego malowało się spółzucie głębokie, spółzucie zwalczane, którego sam przed sobą wyznać nie chciał, a które świadczyło o czemś więcej niż przyjaźń.

— O! panie Kaźmirzu...

Młody człowiek, z akcentu, z jakim wyrazy te wymówione zostały, odczuł że przyjaciółka jego doznaje także dolegliwości, nieznajomych jej zapewne. Miał już na ustach wyrazy „cierpisz pani,“ lecz się powstrzymał z wymówieniem takich, czując instynktownie niejako, iż zaciepienie tej materii zaprowadziłoby i jego i ją dalej może, aniżeli życzyć sobie tego mogli i on i ona. Powstrzymał się i poznał, że nie pozostawało mu nic innego, jak skrócić wizytę obecnie, następnie zaś pomyśleć o czemś, coby sytuację rozjaśnił i niebezpieczeństwo, jeżeli było, odwrócić mogło. Podniósł się więc i wziął do ręki kapelusza.

— Co to? — zapytała panna Helena, wstając.

— Muszę panią pożegnać — odparł tonem zakłopotanym, jakby wstydząc się tego, iż racji innej podać nie może.

— Musisz pożegnać!..

W wyrazach tych brzmiała ironia i smutek. W milczeniu podała Kaźmirzowi dłoń na pożegnanie i po oddaleniu się jego pozostała przez chwilę, jakby w kamień zmieniona. Następnie głowę lekko wstrząsnęła, westchnęła, usiadła, oparła się o okno i zawiesiła wzrok na konarach kasztana dzikiego, którego listki drgały pod naciskiem lekkiego ruchu powietrza. Rzecz naturalna, nie listki ją zajmowały. Patrzyła na nie, jako na przedmiot jedyny, co się jej w oczy rzucał. Patrzyła machinalnie i była do malowania, takiemu jednak malarzowi, coby odgadnąć umiał duszy jej rojenia. Roika o czemś — o czem? Złośliwiec powiedziałby: o migdałach niebieskich. Być może. Nie będziemy z nożem analizy wdziérali się w rojenia te dziewicze. Uszanujemy je, powiadając to tylko, że musiały być smutne, twarz jej bowiem posepniała... posepniała... aż stała się wkońcu odbiciem tajemnej, w głębinach duszy nurtującej boleści.

Kiedy do tego doszło, w pokoju pojawiła się dama w wieku dojrzałym. Była to pani Ewelina. Czas wyrzył na niej ślady, ze szkoda wdzięków, które przyémil, nie zdołał atoli zniszczyć zamiłowania do strojów. Miała na sobie suknię jedwa-

bną świeżą, ogoniastą, zaopatrzoną w dodatki ozdobne na staniku, na rękawach, na kibici i na spódnicy i miała włosy uczesane w warkocze; gors osłaniała koronka, w uszach kolce, na szyi perły, na rękach bransolety, na palcach pierścionki; co straciła na wdziękach, to zyskała na tuszy: wyglądała pulchno, bardzo pulchno, ale jakoś kwaśno, jakby się gniewała lub gryzła. Weszła i tak zaczęła:

— Do zmartwień zmartwienia! Całe życie moje jest ciągiem jednym zgryzot ustawicznych, coraz to nowych i coraz to dotkliwszych!

Postać jej, świadcząca o dobrym bycie, nie potwierdzała słów tych — przeciwnie, patrząc na nią, wydawało się że zgryzota nigdy jej zębem swoim nie zaczęła.

Panna Helena zwróciła na matkę oczy wyrazu zapytania pełne.

— Zgryzoty po zgryzotach!.. o! mój Boże!.. Kiedyż się to skończy?.. w grobie chyba!..

— Mam!—odezwała się panna tonem błagalnego upomnienia.

— W grobie chyba!.. powtórzyła pani dobitnie.

— Cóż zaszło nowego?..

— Moja *riviera*...

— Co, mam?—zapytała panna Helena.

— Przepadła... Chciałam ją dać złotnikowi do przerobienia, wyjęłam wczora, położyłam na toalecie i dziś, patrzę... niema...

— Może się gdzie zesunęła...

— Nie.. niema... Szukano wszędzie... Niema. Strata ogromna!.. tém większa, że była to jedyna od ojca twego pamiątka z dobrych czasów...

— Cóż się to stać mogło?..

— Kradzież... kradzież wyraźna...

— Czy to być może!.. — zawołała panienka przestraszona.—To znaczy że złodziej wszedł do domu...

— Może wchodzić wcale nie potrzebował.

— Nie rozumiem—odparła panienka, nie znając wcale tajemnic rzemiosła złodziejskiego.

— Może kto z domowników... Ale nie mów o tém, o stracie nikt jeszcze nie wie, a rozpoczęto już dochodzenie.

— A dziadunio?

— Dziadunio i babunia wiedzą... To też dziadunio dał znać policyi, dla której zebrać należy poszlaki wszelkie, w celu ułatwienia śledztwa i przyspieszenia odkrycia winowajcy.

Pannę Helenę tak zafrasowała niespodziana ta wiadomość, że zajęta nią, zapomniała zresztą o wszystkiém. Kradzież znana jej była z podań. Słyszała że są na świecie ludzie, złodziejami zwani, których specjalność polega na przyswajaniu sobie cudzej własności. O ludziach owych odzywano się z pogardą; wiedziała że prawo wyznacza na nich kary surowe, nie posiadała jednak wiadomości dokładnej i miała złodziei za gatunek osobny, za odrębną rasę, którejby się z ciekawością przypatrywała, jak zwierzętom rzadkim w menażeryi. Instynktownie bała się ich; a że wszystko co budzi obawę, budzi zarazem i ciekawość, więc zajął ją żywo wypadek przez matkę podany.

— Moja mam!—zawołała—a toć to straszne rzeczy!

— Straszne... zapewne...

Cóż dalej zamierzała mówić, lecz przerwało jej wejście sędziwego jegomości, ku któremu panna Helena posunęła z okrzykiem:

— Słyszał dziadunio?

— Słyszałem, moje dziecko.

— Cóż, papo?—zapytała pani Ewelina.

— Napisałem list poufny do dyrektora policyi i dostałem już odpowiedź, zalecającą mi zwracanie baczną uwagę tak na domowników, jakotóż na tych wszystkich, co bądź dla interesów, bądź też pod rozmaitemi pozorami dom nasz nawiedzają... Złodziej znajduje się pomiędzy jednym lub drugimi... takie moje przekonanie.

— I moje—podechwyła pani, dodając po namyśle:—Prędzej nawet posądzalabym drugich, niż pierwszych.

Hrabia zamyslił się.

— Hm... przedstawiam sobie jednego po dru-

gim.. Któżby to mógł się dostać aż do twego pokoju sypialnego? Jedna twoja panna...

— Ta wchodzi w każdej chwili, ale nie ruszyłaby dlatego właśnie, że podejrzenie naturalnie spaśćby musiało na nią... Gdyby ona wzięła, toby uciekła... wyniosłaby się natychmiast z miasta i z kraju... Zrobiłaby to zresztą zgrabnie; wyjęłaby z komody, wiedząc że do takowej nie zaglądam po tygodni kilka. Jak na nią, byłaby to kradzież najniezgrabniejsza... Dopuscił się jej ktoś, co się wsunął, zoczył, schwycił i zniknął...

— Tak, masz rację—odparł hrabia.—Twoja panna zanadto jest przebiegła, ażeby się w podobny złapać miała sposób.

— Uciekłaby, powiadam papie... Zrobiłaby *un trou dans la lune*, jak kasyerzy banków francuzkich... Ona zna ten sposób, bo przecież należy do klasy ucylizowanej... czytuje rozmowy francuzkie...

Hrabia westchnął.

— Mam podejrzenie...—zaczęła pani Ewelina.

— Na kogo?

— Mam podejrzenie na tego młodego człowieka, co się do domu naszego wkręcił, dzięki stosunkom z Franiem, a raczej dzięki mężowi memu.

Panna Helena zbielała, jak chusta.

— Na Kaźmirza Odrębskiego?—zapytał hrabia tonem naturalnym.

— Mam go w podejrzeniu mocnym.

— Hm... masz rację—odrzekł hrabia bez namysłu—masz rację.

Pannie Helenie kolory na oblicze wróciły, ale na chwilę, potem znów ustąpiły, następnie jeszcze raz wróciły i jeszcze raz ustąpiły. Mieniła się, niby — jak to powiadają — obraz cudowny. Kilkakrotnie usta do mówienia otwierała, lecz głosu z piersi wydobyć nie mogła. Zrobiła narreszcie wysiłek, rękę podniosła i krzyknęła:

— Nieprawda!

Matka spojrzała na nią wzrokiem surowym, w którym się zdumienie malowało; dziadek zwrócił na nią oczy zdziwione.

— Nie, pan Kaźmirz nie byłby zdolnym do czynu podobnego!

W tonie, jakim wyraziła te wymówiła, brzmiała obraza osobista.

— Helciu, co tobie?—upomniała ją matka.

— Mam!.. mama się myli, strasznie myli!.. Mama... grzeszył!..

(*Dalszy ciąg nastąpi*).

KORESPONDENCA TYGODNIKA ILLUSTROWANEGO.

Lwów, w październiku.

Miasto nasze na początku ubiegłego roku posiadało w murach swoich trzy rówieśne wiekiem i dostojenstwem zasług na rozmaitych niwach piśmienniczych sławy, i wszystkie trzy, w okresie mało co więcej niż półrocznym, zagasły. Mówię o Goszczyńskim, Fredrze i ostatnim czcigodnym nieboszczyku naszym—Augustcie Bielowskim, który d. 12 b. m., tknięty apopleksją, nagle w nocy życie zakończył. Dziwnym zbiegiem wypadków na kilka dni przed nim zmarł w Niemczech mąż, co stworzył tam wydawnictwo, za którego wzorem poszedł nasz uczony, dźwignąwszy na własnych barkach ciężar, który gdzieindziej opiera się na siłach licznych pracowników i bogatych zasiłkach rządowych. W końcu września umarł w Niemczech Pertz, wiekopomny dla tego narodu wydawca „Pomników dziejowych Niemiec“, a żalobnym jego śladem poszedł przedwcześnie Bielowski, który, nie oglądając się na fundusze i zasiłki, nielatwe u nas do wydobywania, własną pracą i osobistym poświęceniem rozpoczął znane wszystkim, choćby z imienia, „*Monumenta Poloniae historica*“, nad których trzecim tomem pracuje obecnie komisya historyczna lwowska akademii umiejętności. Już w samém poczęciu myśli tak olbrzymiej, tak przerastającej siły człowieka, widnieje cała dusza Bielowskiego poetyczna i wrażliwa, która wierzyła w ideały i nie lekka się ściągnąć ręki do ich przechylenia ku rze-

czywistości. Nie był Bielowski suchym badaczem, jak tytu dawnych i współczesnych Niemców: intuicyja nie zacięła w jego pracach znamion erudycyjnej ścisłości; a intuicyja to ma do siebie, że niezawsze w poczuciu swoim schodzi się z nieomylną prawdą, powstała z najściślejszej i wyłącznej analizy krytycznej. To też niejedyn pogląd Bielowskiego, urosły z tego zespolenia ścisłego krytycyzmu z rozległą, światłą intuicyją, jak ów fundamentalny jego pomysł, wywodzący Polaków od illyryjskich Lechitów, a stanowiący punkt wyjścia „Wstępu krytycznego do dziejów Polski“, nie ostał się do dziś i nie przetrwał wszystkich prób dziejowej analizy; ale chociażby parę twierdzeń Bielowskiego nie utrzymało się ostatecznie, nie umniejsza to jego wielkiej zasługi dziejopisar-skiej i nie odbiera mu charakteru jednego z najgruntowniejszych i najznakomitszych badaczy naszej przeszłości. Bielowski był oryginalnym myślicielem, a nie zręcznym tylko kompilatorem, jak niektóre nasze miejscowe pseudo-powagi dziejopisar-skie, i z jego zejściem z areny utworzyła się wielka próżnia u nas: umarł człowiek w życiu i w pracy wielkiego pokroju, którego zawodem nie było czepiać się błahostek i szczegółików, lecz który umiał badawczym wzrokiem obejmować szerokie horyzonty przeszłego bytu, mąż z rodzaju Thierrych, Niebuhrow i Prescottów, których dzisiejsza generacja już nie wydaje.

Któż zresztą nie zna prac Bielowskiego na polu dziejopisarstwa i poezji, kto nie unosił się nad gromkim rapsodem o „Pułku Igorowym“, który on przyswoił poetycznej literaturze naszej? Niekażdy jednak znał życie jego, życie Cyncynata, który „dobrze czynił“ i kraj miłował jedną z tych wielkich miłości, co nie zna granicy poświęceniu, co na ołtarzu powszechniej idei zarówno, jak przyjaźni, w cichém, prywatném kółku, zdolna w każdej chwili położyć mienie, życie i wszelkie dobra jego. Dziś dla miłości publicznej sprawy, dla ogólnej idei naukowej lub społecznej, nikt z nas nie potrafiłby tyle oddać, co Bielowski od pierwszych dni młodości. To też wpływ jego publiczny w prowincyi naszej był wielki i wszechstronny: był to jeden z tych ludzi, którzy nie umieją stać na uboczu i w kontemplacyi dawno minionej przeszłości lekceważyć prądy dziejowe chwili współczesnej, duchowe potrzeby pasującej się z wrogami żywiołami teraźniejszości. Łączył on pracę naukową z pracą społeczną, obywatelską i na tej niwie ostatniej był jednym z najbezinteresowniejszych, najśmielszych i najgorliwszych pracowników.

Zsunęła się więc do grobu jedna z posągowych postaci, która umiała pojmwować sprawy ziemskie w ich wielkiej tajemniczej harmonii, w ich całości kształcie idealnym. Słusznie powiedział nad grobem Bielowskiego delegat akademii umiejętności, p. Szujski: „Czujemy, że jednym czystym, szlachetnym, potężnym duchem więcej pomnożył się zastęp tych, których nam zawsze brak będzie, tych, których pamięć związana jest u nas z górą Wawelową i dzwonem Zygmunta. Żegnamy tego, który połączył w sobie poświęcenie i wytrwałość, dary umysłu i charakteru dzielność, niepokalaność i prostotę sługi narodu.“

Kilkunastotysięczne tłumy wyborowej publiczności odprowadziły dnia 15 b. m. nabalsamowane zwłoki nieboszczyka do grobu. Po zniesieniu ich na dziedziniec gmachu Ossolińskich, którego skarbów Bielowski był wiernym stróżem i opiekunem, przemówił, jak już wspominałem, p. Szujski. Prześliczną, równie podniosłą w treści, jak serdecznie odczuta mową, uczył on godnie zmarłego w imieniu akademii, którą wraz z Lucyanem Siemińskim przedstawiał. Orszakowi pogrzebowemu przewodniczył ksiądz infułat Morawski, w gronie mnogiego duchowieństwa świeckiego i wszystkich zakonów tutejszych. Wydział krajowy z wice-marszałkiem, p. Oktawem Pietruskim, rada miejska z prezydentem, p. Aleksandrem Jasińskim, senat wszechniczy z rektorem, dr. Euzebiuszem Czerkawskim, na czele poprzedzały trumnę, obok przedstawicieli wielu stowarzyszeń, korporacyj, instytucyj naukowych i t. d. Kilkanaście wieńców żalobnym laurem o-

toczyło trumnę, którą wielbiciele zmarłego podawali sobie z rąk do rąk, na ogromnej przestrzeni od zakładu imienia Ossolińskich, aż na sam ementarz Łyczakowski. Tu przemówili jeszcze ks. Ptaszek, franciszkanin, młody a pełen wyższego polotu kaznodzieja, i p. Waleryan Podlewski, towarzysz broni zmarłego, członek Wydziału krajowego. Towarzystwo muzyczne, pod dyrekcją swojego mistrza, Karola Mikulego, wykonało najprzód „Requiem,” a następnie ostatnie „Salve Regina.” Od rana już czarne flagi powiewały w oknach ulic, któremi przechodzić miał kondukt. Głęboka boleść malowała się na wszystkich obliczach.

Uniwersytet nasz rozpoczął nowe półrocze pod najlepszymi wróżbami. Od teraz dopiero może on się uważać za szkołę zupełnie polską, gdy zamknęły się ostatnie dwie katedry na wydziale filozoficznym z wykładem niemieckim, a objęły takowe zasłużeni i w świecie naukowym z należną czcią wspomniani profesorowie polscy: jedną z katedr filologii klasycznej dr. L. Źwikliński, powołany z Berlina, a katedrę zoologii dr. Szymon Syrski, dotąd czynny w Tryeście jako dyrektor tamtejszego muzeum przyrodniczego, który, jakby wiano, przywiózł ze sobą znaczny i cenny zbiór zoologiczny, mianowicie wspaniałą kolekcję ryb morskich, ofiarując ją dla muzeum akademickiego. Szczególnie po działalności dra Syrskiego wiele się ogół spodziewa; będzie to odtąd niewątpliwie najznakomitsza siła w wydziale przyrodniczym. Przybyły również w tym półroczu dwie nowe systematyczne docentury: dla historii polskiej, którą objął młody i utalentowany pracownik na tej niwie, dr. Aleksander Hirsberg, i dla filozofii natury, w połączeniu z psychologią, powierzona Warszawianinowi, p. Ochorowiczowi. Ogół sił nauczycielskich na wszechniczy lwowski wynosi obecnie 51 profesorów rozmaitej kategorii, z pomiędzy których 31 jest stałych; resztę stanowią profesorowie nadzwyczajni, docenci i lektorowie. Wykładów zapowiedziano 86, nie licząc w to ćwiczeń seminaryjnych na wydziale prawnym i filozoficznym, w obu jego sekcjach, filologiczno-historycznej i przyrodniczo-matematycznej.

Wiązanka nowości literackich z ostatnich kilku tygodni spłotła się przeważnie z utworów beletrystycznych. Najważniejszym jest wydane przed kilku dniami dzieło dra Ogonowskiego, profesora literatury małosurkiej we wszechniczy lwowski, o poemacie starożytnym: „Słowo o pułku Igorowym.” Autor opracował sumienny i wyczerpujący komentarz do tekstu i rozwiódł się obszernie nad historyczną osnową i lingwistyczną genezą tego poematu, dochodząc w konkluzji, do przekonania, iż napisany on został w staroukraińskim narzeczu. Nie wątpimy iż wywody i ostateczne wnioski szanownego profesora wywołają silną opozycję; w każdym jednak razie praca autora oparła się o grunt pewny, niełatwo dający się podminować, a zaleca się przedmiotowemu ujęciem rzeczy. Jediną tendencją książki jest... prawda naukowa.

Jan Aleksander hr. Fredro wydał u Seifartha i Czajkowskiego poemat natury, rzeklibyśmy, polityczno-społecznej, pod tytułem: „Indyanin przed sądem Amerykanów.” Autor wyprowadza na scenę naczelnika plemion indyjskich, postawionego przed trybunał amerykański, za dokonany zbrodniczy napad na kolęj Pacyfiku. Pół dziki Indyanin, płonący krwiożerczą nienawiścią ku przedstawicielom cywilizacji, która zagraża ostateczną zagładą jego plemieniu, zrezygnowany na śmierć, która go niezawodnie czeka, używa tej godziny sądu na wypowiedzenie Amerykanom i całemu światu nowoczesnej cywilizacji gorzkich prawd i ciężkich zarzutów. Indyanin ze swego punktu widzenia upatruje w tej rzekomej oświacie wszystkie żywioły złego: nienawiść, żądnię płochego zysku, sponiewieranie ducha dla bałwochwalczej apoteozy materializmu, rozprzężenie rodzin, walkę bratnią pojedynczych warstw społecznych, ucisk słabszych przez możnych, zazdrość pracujących w pocie czoła dla wygody i korzyści możnych i t. d. Wiele z tych zarzutów brzmi

dziwnie w ustach przedstawiciela półdzikiego plemienia, które nie wyrobiło sobie dotąd i już nie wyrobi pojęć o życiu społecznym, porządnym organizacji i t. d. Niewłaściwość tonu jednak tkwi tylko w formie, w dykcji, w rzeczywistości bowiem bezstronny sędzia, oparty jedynie na pierwotnej naturze człowieczej, na wrodzonych wyobrażeniach i uczuciach duszy ludzkiej, nie mógłby inaczej patrzeć na stan rzeczy, jak się one w obecnej chwili cywilizacyjnej przedstawiają. Naturalnie, że każda myśl ma dwie strony, podobnie jak każde zjawisko w życiu ludów. Ma cywilizacja społeczna strony ujemne, a ludzkość liczne powody do skarg; ale byłoby rzeczą nazbyt czarnego pesymizmu nie uznać we społecznym postępie stron także jasnych i błogich. Mrzonka to zużyta, że dawniej było lepiej... Ostatecznie więc autor, który przemawia tu ustami dzikiego Indyanina, postawił się na stanowisku może nazbyt konserwatywnym i niesprawiedliwym. Utwór hrabiego Fredry, jako zbiór trafnych spostrzeżeń nad społecznymi wadami dzisiejszego ustroju świata, jako wyraz uczuć szlachetnie nastrojonych, ma wszelkie warunki prawdziwej żywotności i powinienby nie małe obudzić zajęcie, pomimo zaniebdanej częstokroć formy.

Księgarnia Gubrynowicza i Schmidta wydała pośmiertną powieść Pauliny Wilkońskiej: „Na teraz,” nowelę obszerną Bolesławity: „Nad modrym Dunajem” i sławny romans historyczny w trzech tomach Ebersa: „Córka króla egipskiego.” Nowela Bolesławity jest szkicem od niechcenia rzuconym, nieroszczącym sobie pretensji do wykończenia i artystycznej rzeźby; niema tu pełnych charakterów, ale są trafne i bystro podpatrzone sylwetki; niema kunsztownej architektoniki, ale jest motyw nadzwyczaj ciekawy i zręcznie osnowany, tak iż do ostatniej chwili czytelnik śledzi tok akcji z żywym zajęciem, chociaż wkońcu czuje się zdumionym prostotą rozwiązania, któremu rokował o wiele dramatyczniejszy charakter.

W tych dniach opuścił już prasę u Zawadzkiego pierwszy tom zbiorowego wydania pism wiérszym i prozą Dominika Magnuszewskiego, obejmujący poezje liryczne i przeszelną trylogię powieściowo-dramatyczną: „Niewiasta polska w trzech wiekach,” złożoną z powieści: „Małgorzata z Zębocina,” tragedji: „Barbara, jeszcze Gosztołdowa żona” i powieści z czasów Stanisławowskich: „Posiedzenie u Bacciarellego.” Następne tomy wyjdą niebawem. Będzie to najszacowniejsze wydawnictwo tegoroczne, jakim się Lwów poszczycić może.

Księgarnia Wł. Bełzy naprawia pomyłkę, popełnioną puszczeniem w świat „Życia Cezara,” niepoczesnego żartu Nie-Napoleona III, zapowiedzianym wydaniem książki Lucjana Siemieńskiego: „Poezje mistycznej miłości,” w których zadrga jedna z wdzięcznych strun ducha średnowiecznego, jakoteż obszerniej, podobno dwutomowej „Hygieny” dra Jana Stelli-Sawickiego, inspektora szpitali galicyjskich.

Od książki do prasy peryodycznej krok tylko. Z nadchodzącym nowym rokiem nie powstał żaden nowy projekt na tej niwie. Zaledwo śmiem wspominać, dla całości obrazu, w poważnych łamach „Tygodnika” o świeżo powstałej tu „Gazecie świątecznej” pod redakcją p. Frylinga. Pomyśl niezaprzecznie praktyczny i dziennik taki mógłby wypełniać próżnię, którą uczuwa dokoła siebie każdy pilny czytelnik politycznych gazet w dnie poświęczone, gdy poczta nie przywozi mu numeru ulubionej gazetki. Gdyby więc „Gazeta świąteczna” przyswoiła sobie zakrój i charakter pisma poważniejszego, zaopatrzonego w rozumowany przegląd wypadków tygodnia i w inne rubryki, odnoszące się do rozmaitych zakresów życia publicznego, jak się takowe przedstawia w perspektywie tygodnia, byłaby zdobyła sobie prowincyą ogół poważniejszych czytelników, którzy czują potrzebę takiego syntetycznego streszczenia w pamięci i wyobraźni chaosu siedmiodniowych wypadków. Tygodniki polityczne mają swą rację bytu i cieszą się za granicą szerokim kołem czytelników. Tak pojmovaliśmy wydawnictwo „Gazety świątecznej,” która w tym zakresie

nie straciłaby na zajęciu i wobec Lwowa, gdyż mieściłaby również telegramy i ostatnie wypadki, jakoteż kronikę dnia poprzedniego. Żałujemy że p. Frylingowi nie powiodło się stworzyć takiego organu. W tym kształcie jak dzisiejszy, gazeta jego nie utrzyma się, obrawszy charakter czysto lokalny i brukowy.

Za to wcale obiecująco przedstawia się „Towarzystwo pilnych dzieci,” rozpoczęte w imię Boże przez dwie tutejsze firmy księgarskie; ponad to wszystko zaś donioślejszym faktem jest szybki rozwój i zdrowy kierunek, jaki umiał nadać p. Dawid Abrahamowicz czasopismu gospodarskiemu: „Rolnik,” którego redakcją objął od lipca, za wolą galicyjskiego Towarzystwa gospodarskiego. Nader umiejętnie powiodło się nowemu redaktorowi powiązać tu wzgląd na potrzeby i stosunki praktyczne, z kwestjami teorii gospodarczej, wymagającymi traktowania zasadniczego. I rolnik przede i teoretyk ekonomiczny mają dziś w „Rolniku” bogaty materiał dla siebie. Żadna gałęź produkcji krajowej nie została w nim pominięta, a szczególnie statystyka rolnicza i handlowa kraju naszego znajduje w „Rolniku” troskliwego obserwatora i sprawozdawcę.

W teatrze lwowskim przedstawiono już wielokrotnie z prawdziwym powodzeniem nową komedię Kaźmirza Zalewskiego: „Złe ziarno.” Rzadko kiedy oczekiwano u nas z taką niecierpliwością na ukazanie się dzieła scenicznego, jak tym razem. Wszyscy szli do teatru z gotowem już kryterjum; zdawało im się, że tylko przyłożyć je do nowej sztuki p. Zalewskiego, a wartość jej okaże się natychmiast, odmierzona z dokładnością miary metrycznej. Tym probierzem była dawniejsza komedia tegoż samego autora „Przed ślubem,” która u nas tak niezwykle cieszyła się powodzeniem. Tymczasem okazało się, że przyniesiony łokieć nie przydał się na nic. „Złe ziarno” nie jest ani lepszym, ani gorszym od „Przed ślubem” bo jest czémś... zupełnie innym. Naturalnie innym tylko w formie, w budowie, a nie w charakterze osnowy i tendencji. Jedną bowiem i tą samą myśl obyczajową przewija się przez obie sztuki: obrona zagrożonego dziś tak powszechnie i złowrogo ogniska domowego i czystości związków rodzinnych. Myśl „Złego ziarna” nie byłaby nową, jest nią bowiem potępienie związków zawartych bez miłości, jedynie dla interesu; ale forma, w jaką autor przyoblekł swoje zagadnienie obyczajowe, sytuacja którą stworzył, jako punkt wyjścia dla całej akcji sceniczej, pokierowanie nią ścieżkami nieutartymi jeszcze przez literaturę społeczną—oto co jest niezaprzeczenie własnością jego i zasługą. Tragiczne położenie, w którym znalazł się bohater sztuki, Jan Bogusz, nie było dotąd, o ile wiemy, nigdy osnową dramatu; tezy, którą autor obrał i z potężną grozą moralną na szerokiej kanwie rozesnuł, nikt nie umiał dotąd ująć z jej strony zasadniczej, nikt nie pokusił się o zakłęcie jej w plastyczną formę dramatu obyczajowego. Przemykała ona, zaledwo dostrzeżalna, w secinach powieści i dramatów społecznych, ale wzięta płytko i luźnie, nie zdołała przedstawić się w całej swjej sile i żywotności, nie umiała wywołać wstrząsającego wrażenia. Panu Zalewskiemu udało się to szczęśliwie, i w tym upatrujemy obyczajową, niepoślednią doniosłość jego komedji, która w akcji trzecim, napisanym znakomicie, umie wstrząsać widzami i zaiste zdolną być może do wywołania reakcji w sumieniu, poczuwającym się do winy. Pragnąłem tę jedną tylko myśl wypowiedzieć o „Złym ziarnie,” wiedząc, iż gdy pojawi się na scenie warszawskiej, wywoła wyczerpującą dyskusję.

Na zakończenie zaszczytna dla kraju nowina. Malarze tutejsi, p. Andrzej Grabowski, Franciszek Tępa i Minigerode, otrzymali na wystawie w Filadelfji medale. Czemuż tam naszych artystów nie było więcej?

Na Ochronkę imienia Stanisława Jachowicza otrzymaliśmy od J. W. w Mohylewie kop. 50.

Na kamień grobowy ś. p. Zmorskiego od Wołynianki rs. 1.

Artykuły treści naukowej, z innych piśmiennictw czerpane.

Kobieta w Indyach, jej przeszłość i przyszłość, przez Leona Quesnel.

(Dokończenie.)

„Kochana siostrze z Anglii! Otrzymałszy list twój pełen dobroci, doznałam radości nieopisaną. Nigdy nie wyobrażałam sobie, że bym mogła otrzymać tyle dowodów przywiązania od siostry z sercem tak łagodnym i szczerem, jak twoje. Wszystko to spada na mnie, chociaż o to nie prosiłam, ze wspaniałomyślności Boga. Z wdzięcznością też kłaniam się do stóp naszego Ojca niebieskiego, który jest oceanem miłości. Kochana siostrze, pozdrawiam wszystkich twoich, którzy starają się o nasze dobro. Proszę Ojca miłosiernego, aby spełnił wszystkie dobre życzenia wasze, zmierzające do szczęścia całego świata. Spodziewam się, że nie zaniechacie dokonać tego, co zamierzacie zrobić dla dobra siostr swoich indyjskich. Jakąż wy wszyscy okazujecie przyjaźń dla mego męża i jakże serce moje jest wam za to wdzięczne! Ja zawsze jestem niespokojna o niego, gdyż w tym dalekim kraju my nie mamy krewnych, którzyby mogli pielęgnować go w razie cierpienia. Teraz, gdy widzę jak jesteś dobrą, mam niejaką nadzieję, że zechcesz go czasem odwiedzić. Wiadomość że rozmowa jego tak wam się podoba, była dla mnie największą rozkoszą, jakiej doświadczyć mogłam. Ty możesz okazać dużo przyjaźni cudzoziemcowi, dalekiemu od swego domu; ale nam zwyczaj naszego kraju nie pozwalają na to, chociaż sercem tego pragniemy. My nie możemy rozmawiać z innymi mężczyznami, oprócz naszych bliskich krewnych. Uczysz się po bengalsku. Widząc pismo twoje, byłam zachwycona. Ja bardzo bym chciała uczyć się po angielsku, ale wiele rzeczy staje mi na przeszkodzie. Gdy drogi mój mąż powróci, sądzę że będę mogła. Teraz uczę się w swoim języku. U nas bardzo trudno kobietom uczyć się czegokolwiek. Szkół dla nas niema żadnych, tylko mąż, jeżeli zechce, może nas czego nauczyć, albo brat. Ja po całych dniach zajęta jestem pracą około domu, i tylko upatrzysz chwilę, mogę czytać lub pisać. My własnymi rękami gotujemy posiłek dla całej rodziny. Mieszkam z moim ojcem, z moją siostrą i z innymi krewnymi. Napisz mi, z kim ty mieszkasz.

„Ci co mnie kochają bardzo, nazywają mnie *tare* (gwiazda). Nazywaj mnie tym imieniem. Sądzę że listy od żon** i*** były ci miłymi. Moich nie można z nimi porównywać. One mieszkają w stolicy i chodzą do szkoły, którą rząd angielski założył i która zowie się szkołą normalną żeńską. Ja mieszkam na wsi i uczę się sama. Otóż nie jestem pewna, czy ten list sprawi ci jaką przyjemność. Jednak posyłam go, ufna w twoją dobroć. Jeżeli go przyjmiesz, będę szczęśliwą. Siostrze, pozdrawiam cię! Oby Bóg wysłał zacnych twoich życzeń! Oby codziennie rozszerzał na ziemi uczucie braterstwa, zwiększając twoją miłość ku nam; oto prośba moja do Ojca opiekuna, którego dobroć niezgłębiona jest jak ocean. Szczęść ci Boże!...“

Oto ustęp z innego listu:

„Cóż to za zadziwiająca rzecz, ów sposób, w jaki wasze dzieci są wychowywane! Jeśli się nie zacznie uczyć dzieci, kiedy jeszcze są młode, w przedmiocie religii i innych rzeczy, umysł, serce i dusza ich nie rozwiną się nigdy z dobrej strony. Kraj nasz cierpi na tym, że nie ma nic dobrze zorganizowanego dla nauki dzieci. Tak samo jak z dziećmi, ma się rzecz i z dziewczętami. Naukę czynią im zanadto ciemną, zanadto trudną, i to je zniechęca. Rzecz to zadziwiająca, że tylu uczonych jest pomiędzy nami, a nie zaj-

muja się wychowaniem dzieci. Jednego razu pytałam się o to mego męża, a on mi powiedział, że w Anglii są szkoły dla dzieci wszelkiego wieku. Ja sądzę, że to jest powód, dla którego Anglicy są tak rozumni i tak sprawiedliwi. Prosiłam mego męża, żeby otworzył szkołę dla małych dzieci. On odpowiedział mi: „Pracowałem już nad założeniem wielu szkół. Jeżeli te pomysły wydadzą owoce, to i tak dosyć dobrze użyłem mego życia.“

W listach tych przebija się niezaprzeczenie inteligencja, zmieszana z wielką łagodnością. Czytając je, czuje się, że trzy tysiące lat, spędzonych w poddaństwie i niewoli, nie wygasły jeszcze w kobiecie indyjskiej przymiotów serca i umysłu, które poeci sanskryccy sławili.

Oto znów inny wyjątek, podobny do poprzednich, wzięty z listu trzeciej kobiety:

„Dawno już temu, jak mnie spotkała ta radość, że dostałam list od pani otrzymała. Nie umiem pani wypowiedzieć jak mnie to martwi i boli, że ci nie mogła wcześniej odpisać: w dniu, w którym list pani odebrałam, urodziła mi się siostra. Bardzo byliśmy uszczęśliwieni, że w grudniu zawitała do nas nasza dobra przyjaciółka. Pani znasz miss***. Z wdzięcznym sercem ujraliśmy ją, przybywającą do naszego kraju. Od chwili swego przybycia, zajęta jest założeniem tutaj pensjonatu. To z pewnością potrzebom naszego kraju odpowie. Od grudnia do kwietnia bawiłam w Kalkucie, pobierając tam nauki; od dwóch miesięcy zmuszoną byłam porzucić szkołę i wrócić tutaj. Zaczęłam się uczyć języka angielskiego, ale nie uczyłam się niczego więcej. Ta myśl, że się już uczyć nie będę mogła, czyni mnie nieszczęśliwą. Nie będę nigdy umiała twojego, pani, języka!“

List, z którego teraz podamy ustęp, jest utworem umysłu o wiele już wyższego i bardziej wykształconego:

„List pani odebrałam w czasie mego pobytu w Kalkucie i byłam nim zachwycona. Jakże pragnęłabym umieć napisać pani po angielsku to co myślę! Może nigdy tego nie potrafię, gdyż nie robię wielkich postępów, nie mając nikogo coby mnie uczył. Sama tylko uczyć się mogę. Lecz gdy pomyślę, że nie niema niepodobnego dla pracy, dla pilności, dla wytrwałości i odwagi, nadzieja nanowo napelnia serce moje. Pani kilka ustępów w swoim liście napisałaś po bengalsku i bardzo byłam szczęśliwą, czytając te słowa. Że pani potrafiłaś tak piękne myśli wyrazić w języku, którego tak krótko się uczyłaś, to doprawdy rzecz zadziwiająca. Serce moje oczarowała szczerą prostotą i rozległością umysłu, list pani cechująca.

„Na każdej ścieżce są ciernie“ etc.

„Bardzo mi się podobał ten wiersz w liście pani. Masz pani słusność, mówiąc: „Pokorne serce, które ufa w Bogu, szczęśliwym jest wszędzie.“

„Miesiąc temu, jak wróciliśmy z Kalkuty. Mieszkamy w pięknym miejscu. Dom nasz leży pośród wielkiego ogrodu. Jest tu kościół katolicki w naszym sąsiedztwie, mający 300 lat. Słyszymy zdala piękny głos organów.

„Dziękuję pani za rysunki, które byłaś łaska mi ofiarować. Dziękuję naszemu wspólnemu Ojcu, że nas wyrwał z rąk okrutnych muzułmanów, a umieścił pod prawami ucywilizowanych Anglików; gdyż o ile za naszych królów indyjskich robiliśmy wielkie we wszystkim postępy, o tyle utraciliśmy i zapomnieliśmy wszystko pod muzułmanami. W liczbie szczególnych obowiązków kobiety były wówczas nauka, wolny wybór męża, gościnność dla cudzoziemców. Kobieta wychodziła z domu, odwiedzała. Kobieta wychodziła z domu, kiedy chciała. W średnich wiekach wszystko to ustalo; lecz pod waszym wspaniałomyślnym prawem wracać zaczyna.

„Pytasz mnie pani, czy mogę pomagać memu mężowi po za domem. My kobiety indyjskie jesteśmy niewolnicami. Mnie niewolno wychodzić z domu, ani rozmawiać z mężczyzną, dlatego nie mogę z mężem chodzić do jego szkoły; ale miałam lekcje z dziewczynkami. Nie wiele ja to tam zrobić mogę; nie potrafię naśladować mego męża. Zresztą on niepodobny do innych ludzi i całe jego życie jest pracą i poświęceniem; on o niczym nie myśli od rana do nocy, tylko o nauczaniu ubogich dzieci...“

I jeszcze jeden, ostatni ustęp z listu innej znowu Indyanki:

„Nie zapomnę nigdy dobroci, jaką mi pani okazałaś w moim opuszczeniu. Gdy ręce moje dotknęły listu pani, którego oczy moje nie mogły odczytać, smutno mi się zrobiło, że jestem tak ciemna i ograniczona i że nie umiem po angielsku. Gdybym umiała, nie byłabym zmuszoną czekać, aż mi kto zacne słowa pani przetłumaczy. Umysł pani błyszczy ozdobami nauki, a pani go używasz w celu podniesienia piękności swojej religii. Ale piękności religii nie mogą się rozwijać w mroku ciemnoty. Czy mam w tej mierze słusność, czy nie, wię o tym *babu* (mąż) najlepiej. Dziękuję pani za pamięć o naszych dzieciach. Chodzą one do szkoły, przynajmniej chłopcy. Córki moje czytają trochę w domu, ale niewiele. O sobie coż pani powiem? Stan mój umysłowy jest nędzny. Taka nauka bezładna nie na wiele mi się przyda. Życie moje było jałowem; nie zrobiłam nic dobrego, gdyż bez pomocy wykształcenia nic zrobić nie można.“

Nutą górującą w tych listach naiwnych jest słodycz, pokora, miłość macierzyńska i małżeńska, połączona z wysokim poszanowaniem dla spraw umysłowych. Kobiety te, korespondujące z Angielkami, są to naturalnie żony ludzi wykształconych, przyjaciół postępu, ale przytępnymi prawdziwe Indyanki, mocno przywiązane do dawnych wspomnień i religii swojego kraju. Pod względem społecznym należą one do stanu średniego, który lepiej niż bogactwo lub ubóstwo sprzyja rozwojowi darów przyrodzonych. Wiziemy tu dzisiejszą kobietę indyjską strony wyjątkowej bezwzględności, ale prawdziwej. Cała rasa indyjska jest słaba. Jedną to z przyczyn, dla których buddaizm nie mógł istnieć długo w okolicach południowych i cofnął się ku górą północnym, gdzie charakter z natury już posiadają więcej męskości. Kobiety więc ulegają podwójnej słabości, pochodzącej z natury ich i wychowania. Nie można jednak powstrzymać się od zrobienia uwagi, że jeżeli wydają się przywiązane do swego jarzma, to dlatego, że biorą je za jarzmo miłości. Fanatyzm ich religijny i małżeński natchnął je w kwestyi *Sutty* (palenia się wdów na stosie męzowskim) energią, z której przewyciężeniem rząd niemal miał trudności. Rezydenci europejscy w Kalkucie zgadzają się na to, że kobieta indyjska jest wprawdzie do pewnego stopnia odrętwiała i nie posiada wykształcenia, ale jest do niego zdolna. Ponieważ nie ulega wątpliwości, że dłuższe stosunki z Europejczykami zrobią wyłom w braminizmie i system kastowy zniweczą, należy się spodziewać, że dawny ideał kobiety, zawarty w księgach *Vedas*, przywrócony zostanie w chwili, gdy nauka o jednym Bogu i o równości ludzi, którą bramini starannie ukrywają przed ludem, pojawi się nanowo, wskutek zetknięcia się z chrześcijaństwem. Niema jeszcze czterystu lat, jak stopa pierwszego żeglarza europejskiego stanęła na tajemniczej ziemi Indji; niema jeszcze wieku całego, jak Anglicy zaprowadzili tam rząd regularny, a jednak zachowawcze zasady braminizmu dużo już straciły na uroku w oczach wielu Indyan. Religia narodowa istnieje już tylko prawie wyłącznie w klasach niższych, pod formą zwiastu-

jącą blizki jej koniec: pod formą zabobonu. Anglicy zapewniają, że ateizm robi wielkie w Indjach postępy. Jeżeli fakt ten jest prawdziwym, jest to stan przejściowy, który obejmuje w sobie w zawiązku odrodzenie religijne i polityczne tego rozległego państwa, odrodzenie, w którym przyrodzone zdolności kobiety indyjskiej wielką odegrać powinny rolę.

Sztuka włoska w epoce odrodzenia,

przez M. Carrière'a.

II.

Rozkwit sztuki włoskiej.—Leonardo da Vinci.—Michał Anioł
Rafaël, Correggio, Tycyan.

(Dalszy ciąg).

Tu najwłaściwiej będzie wspomnieć o innych monumentalnych malowidłach Rafała. Najpiękniej nasuwają się nam Sybille w kościele San Marco della pace. Jakkolwiek pod wpływem malowideł kaplicy Sykstyńskiej dał się Rafaël chwilowo sprowadzić z właściwej swemu talentowi drogi i na jednym z filarów kościelnych odmalował Izajasza, który przecie nie dorównał prorokom Michała Anioła, jednakże wycofał się w samą porę i w obecnych pracach wdziękiem wyrazu i form, tudzież harmonią i malowniczością grup doszedł na swój odrębnej drodze do równie wysokiego stanowiska, nie kusząc się o nieprzystępną dla swego penzla głębokość i wzniosłość w plastycznym przedstawianiu postaci. Śród szerokiej, prostokątnej ściany sterczy półkolista łuk okna; na tej z pozorów bardzo niedogodnej dla artysty przestrzeni rozwinął Rafaël jedną ze swych najpiękniejszych kompozycji. Cztery postacie kobiece, w rozmaitych pozycjach, wspierają się o łuk środkowy; u góry geniusz z pochodnią, jutrzienka nowego dnia wiedzy; obok niego dwaj aniołowie, z tablicami w ręku, zwracają się ku Sybillom, wspartym po obu stronach łuku; dwaj inni, również z twarzą na zewnątrz zwróconą, ulatują ponad dwiema brzeźnami Sybillami. W ten sposób cała przestrzeń została wypełniona ze swobodną symetrią i nieporównanym mistrzostwem. Sybille Rafała stoją w pośrodku między muzami greckimi a Sybillami Michała Anioła; w ich postaci czuć podniesienie duszy przez poznanie zbawienia i nadzieję wiecznego życia za sprawą Chrystusa, zwycięzcy nad śmiercią. Tym sposobem stanowią one pełną namaszczenia ozdobę miejsca, które Agostino Chigi obrał za grób dla siebie i swjej rodziny; doskonała harmonia promieniejącego światłem malowidła ogarnia widza spokojem, pełnym niebiańskiej błogości.

Wkrótce potem budował i ozdabiał Rafaël inną kaplicę grobową, w lewej nawie kościoła Santa Maria del popolo. Ponad osmiokątną budowlą wznosi się kopuła, zbudowana i przyozdobiona w najczystszy styl odrodzenia. Kopuła ta ma przedstawiać niebiosy. Dokoła Boga-Ojca, umieszczonego pośrodku, krążą duchy planet z aniołami i geniuszami, władającymi nad odpowiednimi sferami; starożytność i chrześcijaństwo zlały się tu razem, jak u Dantego. Pomiędzy czterema posągami proroków, którzy poniżej w niszach stoją, jako podtrzymywacze nadziei w ludzkości, jeden, przedstawiający Jonasza przychodzącego do świadomości, jest dziełem Rafała, świadcząc iż mistrz ten dzielny był rzeźbiarzem, tak jak znowu tchnąca wesołym spokojem całość budowli przekonywa o jego architektonicznych zdolnościach.

Obok religijnego, umiał także Rafaël odtwarzać zmysłowe piękno i wesołą stronę życia, w czem sztuka i poezja starożytna dostarczały mu osnowy. Dawniej jeszcze ozdobił on budynek kąpielowy kardynała Bibieny wesołymi scenami wszystko przemagającej potęgi Amora, a wiejski domek w ogrodzie Borghese zaślubinami Aleksandra W-go z Roksana. W Villa Farnesina w jednej ze sal odmalował on Galateę, gdy stojąc w muszli, kieruje delfinami. Rozpuszczone włosy

nimfy igrają z wiatrem, rozkoszne ciało jest prawie zupełnie obnażone, oblicze jej promienieje szczęściem, a pełna wdzięku postawa panuje w środku obrazu nad całym otoczeniem. Strzelające z łuków amorki unoszą się dokoła w powietrzu, nimfy ściskają się i całują z morskimi centaurami, trytony dmą w muszlane rogi, a wszystko to tchnie rozkoszą, wolną jednak od wszelkiej pożądliwości. Całość obrazu stanowi upajający hymn na cześć cielesnej piękności, chociaż i tu nie spotykamy kopij z antyków, lecz postacie zrodzone w sercu artysty i napiętnowane znamieniem nowożytności.

Historia Psyche zdobi sufit i boki przepysznego przedsionka. Zamiast trzymać się głębszego pojmowania mytu o duszy, jej upadku, wybawieniu i ożywieniu przez Boską miłość, poszedł tu Rafaël za opowieścią Apulejusza i utworzył różnobarwną, fantastyczną tkaninę, wywołującą w widzu uczucie błogiej wesołości. Zgromadzenie bogów, przed którymi Eros wypowiada swą obronę i następnie święci obchód swój weselny, tworzy jakby dwa światy, rozpostarte na suficie kobierce, objęte girlandami z kwiatów i owoców. Takie samo obramowanie zdobi i boczne malowidła, na których widzimy bożka miłości, jak okradłszy innych bogów z ich atrybutów, płata rozmaite figle.

U dołu rozwija się historia Psyche w szeregu scen, przedstawiających jak Eros ukazuje Psyche Gracyom, jak Jupiter ją całuje, jak poseł Bogów w tryumfie wiedzie ją ku górze. Obrazy te, tudzież niektóre postacie z uczt Bogów (Ganimed) stanowią prawdziwe klejnoty sztuki. Inne zato sceny, wykonane przez uczniów, rażą niekiedy szorstkością, a nawet niezdarnością zupełną penzla. Gdyby cała historia Psyche została tak wykonaną jak Galatea, byłby to jeden z najczarowniejszych utworów sztuki włoskiej. Takim to fantazjom oddawał się Rafaël wtedy, gdy jednocześnie tworzył Madonnę w San Sisto i Chrystusa krzyż dźwigającego.

Jako przejście do olejnych na płótnie malowideł z rzymskiej epoki, mogą służyć kartony, które Rafaël narysował w 1516 r. na dywany, mające pokryć dolne części bocznych ścian kaplicy Sykstyńskiej. Zawierają one sceny z dziejów apostoelskich, od liryczno-idylicznego połowu ryb przez Piotra i spokoju uroczystego, jakim tchnie scena powierzenia temuż apostołowi przez Chrystusa pieczy nad owieczkami („Paś owieczki moje“), aż do dramatycznych, pełnych siły kompozycji, jak osłepienie Elymasa i śmierć Ananiasza. Rafaël ukazuje się tu zupełnym władcą wszystkich środków artystycznych i w całej sile swego geniuszu. Jak potężnie, na podobieństwo zagniewanych bogów, przedstawiają się nam apostołowie stojący na wzniesieniu w środku obrazu, podczas gdy na prawo podstępny Ananiasz pada jakby piorunem rażony, a gromadka obecnych temu po lewej stronie cofa się w przerażeniu. W głębi sumienni członkowie gminy oddają na rzecz ogółu całą przewyżkę swego mienia; tylko małżonka Ananiasza przelicza z chciwością zatajone pieniądze; z drugiej strony znowu, po za Ananiaszem, rozdziela Jan dary bogatszych między ubogich, zamykając pojednawczo, dziełem miłości, tragedya winy i kary, rozwiniętą przed naszymi oczami. Przed zasiadłym na tronie Sergiuszem stoją zwróceniu ku sobie apostoł Paweł i czarownik Elymas, którego niepewna postawa i macanie przed sobą, w porównaniu z podniosłym spokojem apostoła, świadczy z nieporównaną dobitnością o ciemnościach, w jakie na słowo Piotra pogrążone zostały jego oczy. Silniej jeszcze niż Masaccio odtworzył Rafaël kaléctwo kulawego żebraka przed świątynią; w chwili jednakże gdy Jan podaje mu rękę z pomocą, wyraz zaufania i wiary występujący na obliczu biedaka przemaga tak dalece nad szpetnością form, iż nie możemy wątpić już, że elektryczny, ożywczy prąd zdrowia wyprostuje powykręcane jego członki. „Ofiara w Listrze“ przedstawia się nam z epieczną nacożnością, zaczawszy od kulawego, który odrzuciwszy kule, wznosi ręce z dziękczynieniem ku niebu, aż do mężów prowadzących byka i kapła-

na, zamierzającego się tóporcem nad czołem zwierzęcia, lub do apostoła, który na ten widok rozdziera swe szaty. Paweł głoszący ewangelią w Atenach stoi na przednim planie; Dyonizyusz Arcopagita i Damaris zwracają się z wiarą ku niemu; dalej w półkolu stoją i siedzą Grecy, których oblicze odzwierciedla rozliczne wrażenia, jakie w nich wywołało oznajmienie nieznanego im Boga, począwszy od zupełnej obojętności względem ideału, aż do poważnego rozmyślenia i głębokiego ujęcia nowej prawdy. Wspaniałość postaci i draperyj w tej jasno uporządkowanej i pełnej życia indywidualnego kompozycji świadczy o wpływie starożytnych posągów i płaskorzeźb, umiejętnie zużytkowanych i samoistnie zastosowanych do wymagań malarstwa.

Jednocześnie z temi obszernymi rozmiarów pracami, utworzył Rafaël w Rzymie pewną liczbę portretów, w których, jak prawdziwy poeta, uchwycił zasadnicze cechy danej postaci, podniósł takową do ideału. Tak wykonał wizerunki obu papięzów, Juliusza i Leona, hrabiego Castiglione, pełną wdzięku Joannę Aragońską i inne. Imię piekarczanki Fornariny, którą podanie daje za kochankę artysty, nosi daleko właściwiej portret Rzymianki z ludu, półobnażonej, ze wstęgą na ramieniu, niż owo szlachetnie piękne oblicze, pełne wzniosłego namaszczenia, stanowiące jeden z klejnotów Ufficj florenckich. To ostatnie dzieło w nowszych czasach przypisywano, bez dostatecznych jednak dowodów, Sebastyanowi del Piombo. Pokrewnym z tą postacią jest młody skrzypek, pełen zapалу, tudzież w Luwrze rozkwitający dopiero młodzieniec, który w dziwny sposób nosi imię samego mistrza.

Dla króla francuzkiego odmalował Rafaël s-tą Małgorzatę, jak z palmą w ręku, z całą ufnością swjej niewinności, idzie naprzeciw smoka, podczas gdy archanioł Michał w świetnej zbroi, spłynawszy z niebios, przygniata szatana nogą do ziemi. Obok uosobionego zwycięstwa dobrego nad złem w energicznej postaci archanioła, widzimy tu czysto kobiecą dobroć duszy w postaci świętej, która zatopiona w modlitwie, nie zważa na to co się wokoło niej dzieje.

Mały rozmiarami, ale wielki wykonaniem i potężne wywołujący wrażenie utwór „Widzenie Ezechiela“, przedstawia Stwórcę unoszonego przez symboliczne postacie zwierzęce, które stały się znakami charakterystycznymi ewangelistów. Postać Jehowy zajmuje środek między greckim typem Boga-Ojca a Stwórcą Michała Anioła i w duchu rafałowskim błogosławi światu w brzasku porannym. Podobną poezią i spokojem tchnie święta Cecylia; stoi ona wśrodku między dwiema tworzącymi kontrast postaciami, pogrążonymi w zamysleniu, Pawła i powabnie spoglądającej Magdaleny. W głębi widać jeszcze zwrócone ku sobie głowy i części korpusów Jana i Petroniusza. Instrumenta muzyczne leżą na podłodze, a święta, zapomniawszy o ziemskiej rzeczywistości, patrzy z gorącym zachwytem ku górze, z kąd do jej uszu dolata niebiański śpiew, napełniając duszę objawieniem nadziemskiego piękna. Płynna falistość linii i pełnia harmonijna barw, cudownie odpowiadają myśli i stopniowaniu wyrazu postaci. Tu również wspomnieć nam wypada o tragicznie wstrząsającym utworze: „Chrystus niosący krzyż“, znanym pod nazwą *Spasimo di Sicilia*, ponieważ był pierwotnie przeznaczony dla klasztoru Matki Boskiej Bolesnej w Palermo. Jezus upada pod ciężarem krzyża, który bierze Szymon z Cyreny, podczas gdy pacholek włócznią popycha, a drugi ciągnie powrozem Zbawiciela, zwróconego twarzą ku stronie, gdzie matka z orszakiem płaczących niewiast, postępując opodal, wyciąga z rozpaczą ręce ku cierpiącemu synowi. Głęb obrazu zajmują jeźdźcy, otwierający i zamykający pochód. Wszystko tu wybornie obmyślane i rozmieszczone; każda postać porusza się sama przez się z zupełną swobodą, nie psując mimo to rytmicznego układu całości; scena cała wydaje się wziętą z bezpośredniej rzeczywistości, a jednakże tchnie najszlachetniejszą pięknością.

(Dokończenie nastąpi).